

o żeromskim, czyli... nienawiść myślenia



Biorąc pod uwagę ostatnie lata badań zajmujących się poznawaniem literatury, nie powstała żadna nowa praca, przedstawiająca w „świeży” i zaskakujący sposób twórczość Stefana Żeromskiego.

Potoczne stwierdzenie „punkt widzenia zależy od punktu siedzenia” okazuje się niezbędne do rozpoczęcia dyskursu na temat „Lekcji martwego języka” Piotra Bratkowskiego. Bo wszystko zależy od tego w czyją rolę się wczujemy, czy będziemy nauczycielem a może literaturoznawcą. Wędrowkę rozpoczniemy więc od ustalenia definicji „tożsamości wyjściowej” a zarazem „tożsamości konkretnej”. Dwa dyskursy: literaturoznawczy i „szkolny” różnią się od siebie, i to znacznie. O Żeromskim w szkole mówi się tak, jakby dawno umarła jego proza poetycka, straciła znaczenie siła perswazji jej słowa. A przecież zdawałoby się, że literaturoznawcy temu zaprzeczają... Wydawałoby się nawet, że proza ta pełna wiary i nadziei, leży teraz odłogiem...

O tożsamości w dyskursie decyduje argument gwarantujący sukces tej „promocji”, a także rodzaj negocjacji, metoda walki z tekstem, ulubiona forma „projekcji osobowości”. Dokonując wyboru dyskursu, zakładamy odpowiednią maskę, której nigdy nie zdejmujemy, albo też taką, którą ukradkiem podmienimy w zależności od sytuacji. Będziemy jednym z podmiotów w jednym z wybranych dyskursów, będziemy stać za lub przed ladą i próbować w odpowiedni sposób „opchnąć” przedmiot, za który uważamy pisarstwo Żeromskiego. A co świadczyć będzie o jego kupnie? Łatwość, dostępność, niska cena, a także marka - żeromszczyna - w sumie wszystko to, co składa się na „superlatywy” produktu. Uczeń go kupi, „pobawi się nim jak zabawką” i w rezultacie wyrzuci do kosza, bo produkt nie będzie miał dla niego większej wartości lub też „nie będzie spełniał norm unijnych”. A w co zainwestuje literaturoznawca? Zapewne w jakość...

Problem, o którym wspomina w artykule Bratkowski to przecucie, że Żeromski będzie powracał jako „widmo”, że oto ten „marny pisarz” opanuje całkowicie teren tradycji, zdominuje pas graniczny nudy i rozrywki. Ale na to zjawisko „powrotu z przeszłości” można spojrzeć inaczej, bo przecież autor *Ludzi bezdomnych* będzie kształtował naszą teraźniejszość przez pryzmat przeszłości chociażby w *Dumie o hetmanie*. Żeromski

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka

PÓJDŹ ZE MNĄ DO STAJENKI

Małgorzacie Dąbkowskiej

*- Jeśli pójdziesz,
ubierzesz wszystkie kolory w
stajence...
Tam zwierzęta są czyste,
był przechodząc tędy sam Chrystus...*

*Zaśpiewamy kolędy
i noworoczne pieśni.
- Podniesiemy ramiona wysoko,
kilka baloników niebieskich
spadną z nieba...*

*A kiedy będziesz zmęczona
Małgorzato,
siano Ci pościelę w samym rogu.
Położymy się przytuleni,
sny wybierzemy niczym z bajki.*

- Podzielimy się miłością...





zakłada jedną z masek, która nie tylko nie tuszuje jego twarzy, ale nieustannie ją powiela. Wielokrotnie jednak tą maską jesteśmy znudzeni, niekiedy zniesmaczeni. Maską ta mówi sama za siebie czym jest, co oznacza jako poetycka kreacja, jaka jest jej konstrukcja, a także jakie rzuca nam wyzwanie. Maską ta ociera się o twarz czytelnika niczym rękawica, która w nią uderzyła. Z reguły jednak nikt nie zauważa subtelnej dotknięcia maski, nie dostrzega mistyki słowa, jednego z korytarzy, w którym przebiegać może nic porozumienia między nami a pisarzem, nie zdaje sobie sprawy z tego, że Żeromski był takim samym „małym człowiekiem” jak my. Nas przeraża jego wielkość czy nawet jego „autentyczna próżnia”. Tak jakby ktoś kiedyś stworzył nam jeden mit, z którego nie możemy się uwolnić. Taka sama sytuacja jest z „przestarzałym” Wyspiańskim i jego „wiecznym” Weselem, z „oklepanym” Panem Tadeuszem czy z „przydługą” Lalką. Bo nimi się można pobać przez chwilę, potem są już nieaktualne.

Jednostronność „brykowskich” czy „gregowskich” przedstawień literatury, w tym, oczywiście, twórczości Żeromskiego, to klątwa dzisiejszego dyskursu edukacyjnego. Dlaczego? Bo wiem powielają one schemat, który nudzi nas coraz bardziej. Ale i on dostarcza nam całkiem „wygodnych mitów”, które powstają w rezultacie niejako „obok literatury”, gdzieś pomiędzy jej bytem a jej trwaniem. Mówią o konstrukcji powieści, wyjaśniają relacje i koneksje pomiędzy różnymi utworami (pejoratywna strona badań wpływowologicznych), słowem, robią wszystko, by ich czytelnik poznał sztambuchową pseudo-literaturę. Przy czym poznamy jedynie materię esencjonalną. Nie widzimy nic poza nią. Po reinterpretacji tekstu Przedwiośnia czy Syzyfowych prac jedyne co zauważamy (i to bardzo słusznie po przeczytaniu ze zrozumieniem opracowania), że wpisują się one jedynie w jeden i ten sam model retoryki narodowej, w swoistą „krucjatę szczęścia” narodu polskiego. A przecież na literaturę i jej przemiany można spojrzeć całkiem inaczej...

Są dwa albo nawet trzy poziomy rozumienia utworu literackiego. Zatrzymanie się na najniższym, czyli fabule, grozi „bankructwem” literatury. Jeżeli zastanawiamy się po co czytać coś, co już wyblakło na kanwie tradycji literackiej, to powin-

niemy sobie uzmysłwić, że to chyba lepsze niż podleganie tzw. „masowej teorii i historii literatury” zakłętą w tzw. „lekturach z opracowaniem”. Wiadomo, że „wierny” opis lektur, streszczenie, zapisanie suchych faktów może być przydatny młodzieży. Ale nie ma tutaj miejsca na uświadomienie sobie sensu i biegu procesu historyczno-literackiego. Nie istnieją odcienie, jest tylko czarno-biała analiza faktów. Czytanie literatury przez pryzmat jego odczytania, czyli w postaci streszczenia itp., i jego bezkarne dopuszczanie jest jednak rezultatem i najcięższym grzechem dydaktyki języka polskiego. Bo przecież konstrukcja scenariusza lekcji podporządkowana jest pewnemu ogólnemu pojęciu, o którym pisze Dominik Lewiński - kognitywnemu konstruktowi - wygenerowanemu przez coś tak przewrotnie nazwanego jak „doświadczenie”. Istotą interpretacji literatury nie jest wyłącznie umiejętność jednostronnego jej odczytania, ale nieustannie spiętrzające się konflikty w procesie jej odświeżania. Błędem naczelnym nauczania literatury w szkole jest więc strukturalistyczne potraktowanie procesu nauczania, jednostronne pojmowanie literatury, słowem, likwidowanie opresji niedopowiedzenia. Wyrazisty podział na: dobre i złe, ciche i głośne, czarne i białe „bez światłocienia” prowadzi nieuchronnie do powielania wzorca, który w obliczu XXI-go wieku egzystuje na granicy wyczerpania i destrukcji. A przecież Wierna rzeka przeczytana po raz drugi nie jest tą samą lekturą.

I zarzut kolejny, jeżeli nie przestaniemy myśleć w kategoriach historycznych, nie zlikwidujemy mylnego przeświadczenia, że w prozie Żeromskiego nie istnieje nic oprócz warstwy dyskursu narodowego, która wypiętrza się w postaci mitu narodowego, to nigdy nie przyjrzymy się literaturze jako „pięknej w samej sobie” wartości estetycznej.

Bo przecież Żeromski to nie tylko życie ważone na jednej szali ze śmiercią w Przedwiośniu, to również cierpienie wkomponowane w kunsztowną tkankę poetycką utworu. To jest właśnie zasługą Żeromskiego, że mimo swojego rzekomego „językowego skostnienia”, pozostaje nadal żywy i to m.in. odróżnia go od innego „prozatora”, Iwaszkiewicza. Poziom światopoglądowy łączący się u Żeromskiego z kolejnym, który egzystuje u niego niejako na pograniczu imaginacji i poetyki. Przypatrzmy się chociażby jednej z możliwych orientacji interpretacyjnych. To, co u Żeromskiego szczególne, to barokowe wyczucie szczegółu, kontrastywne zestawienia, oszałamiająca dynamika opisu, impresjonistyczna stylistyka światłocienia i ekspresjonistyczna estetyka, a więc kierunki literacko-estetyczne, które powstały w pewnym procesie. Żeromski jest więc zapomnianym ogniwem między barokowością wykrystalizowaną w formie „baroku modernistycznego” a neobarokiem i późniejszym neoneobarokiem. Ale to, oczywiście, jedna z dróg, która umożliwia snucie, odbiegającej od standardów, „opowieści o literaturze”.

Szukanie nowych możliwości interpretacji m.in. Wiernej rzeki nie musi więc oznaczać rozdziału między klasyczną formą a treścią. Bo teksty „interpretacyjnie przebrzmiałe” okazują się doskonałym materiałem dla polonisty. Objaśnianie uczniom, że nie ma złej odpowiedzi, że wszystkie są właściwe, pod warunkiem, że określimy nasz punkt widzenia, jest doskonałą metodą.

Strukturalne skostnienie wraz ze swoim produktem, kognitywnym amalgamatem, powoduje, że odcinamy się od rzeczywistego myślenia, a stąpamy po żelaznej podstawie, pod miedzianym niebem. Skoro nie potrafimy wyzwolić się z oków tradycyjnego myślenia, albo - i to jest paradoks - raczej z czegoś, co myśleniem nazwać nie można, to nigdy nie wykształcimy w nikim rzeczywistej i twórczej chęci do poznawania „prawdziwej literatury”.

Stagnacja i lenistwo uczą bowiem nienawiści...

Anna Łozowska, Słupsk

liryczny opis małej ojczyzny



Czytam tę książkę pisaną mową wiążaną jak podręcznik gorzkiej miłości „do kraju tego...” Upoważnia mnie do tego lektura kolejnych wierszy, wśród których odnajduję te z cytataми z Norwida.

Trzynastą książkę Jerzego Fryckowskiego „Jestem z Dębnicy” starannie wydało Wydawnictwo LenArt z Głębina dzięki stypendium Starosty Powiatu Słupskiego, Gminie Dębica Kaszubska i przyjacielowi autora, Andrzejowi Szczepkowskiemu. Autor dedykował książkę Pamięci Ewy, wyposażył w motto z Jana Lechonia: „Pytasz, co w moim życiu z wszystkich rzeczą główną”, a przedmową opatrzył Rafał Jaworski. Piękne akwarele Urszuli Olczyńskiej z Biłgoraja i rodzinne fotografie weszły do oprawy graficznej tomu w twardej brązowej okładce z opisaniem grzbieta. Uroczysta promocja odbyła się trzynastego listopada br. w miejscu zamieszkania autora, w Dębicy Kaszubskiej. Czytam tę książkę pisaną mową wiążaną jak podręcznik gorzkiej miłości „do kraju tego...” Upoważnia mnie do tego lektura kolejnych wierszy, wśród których odnajduję te z cytataми z Norwida.

„300 mil do nieba, czyli lekcja polskiego braci Zielińskich” to wiersz przywołujący zdarzenie z 1985 roku, które poruszyło serca i sumienia nie tylko Polaków, głównie dzięki zachodnim mediom. Historię ucieczki dwóch chłopców wykorzystał Maciej Dejczer w filmie „300 mil do nieba”. Dla Jerzego Fryckowskiego odwołanie się do znanej, również dzięki filmowi, historii braci Zielińskich to pretekst do refleksji nad współczesną percepcją twórczości Norwida. Autor, opisując lekcję polskiego „odwrotnych plecami do Bałtyku”, przypomina znany wers: „gdzie kruszynę chleba podnoszą z ziemi przez uszanowanie...”, wprowadzając nim wartości, jakie tradycyjnie łączyliśmy z pojęciem ojczyzny. Kontekst sytuacyjny buduje napięcie między patetycznie brzmiącym wersem, a nonszalanckimi gestami bohaterów wiersza, którzy próbują smaku wolności: „odpalają jeden papieros od drugiego”, i potocznie soczystym językiem polifonicznego, jak się zdaje, podmiotu mówiącego: „niech sobie gówniarze popalą”. Dla nas pozostaje pytanie o nasz stosunek do norwidowskiej koncepcji patriotyzmu. Czy my też, jak bohaterowie wiersza, sprawimy, że „Norwid posłusznie wróci na półkę”, a sami zabawimy się odczytywaniem wieloznaczności wersu: „nadal nie ma zaufania do czarnych klawiszy”?

Obok, na stronie pięćdziesiątej pierwszej liczącej dziewięćdziesiąt sześć stron książki, czytam kolejny wiersz pod tytułem „A to Polska właśnie” z cytatem z Norwida. Wiersz gorzki, sarkastyczny, w którym autor rozprawia się z „narodowym autorytetem” roku 1968. Dawny opozycjonista, dysydent uwikłany w historyczne kompromisy, porzucił młodzińcze ideały, dawny radykalizm i zaproponował abolicję dla autorów stanu wojennego, o co apelował do prezydenta Lecha Kaczyńskiego w 2005 roku. Podmiot wiersza ironizuje: „wyciera z kącika ust ślinę generała/to wielki akt odwagi cywilnej w nadchodzącej epoce braci Kaczyńskich/i wszechogarniającego zagrożenia AIDS”. Dziećmi wielkiego przewrotu, w który po przeciwnych stronach uwikłani byli i Michnik, i Jaruzelski, są „byli pegeerowcy” spędzający dni przed sklepem, którzy „z zasady nie kupują „wyborczej”, a za słowa Norwida: „do kraju tego, gdzie



kruszynę chleba podnoszą z ziemi dla uszanowania...” „szcześniak” „dostał batem w pysk i z płaczem pobiegł do matki”. Ani autorytet redaktora, ani słowa Norwida nie mają znaczenia wobec upodlonej rzeczywistości, gdzie ważne są: „ostatnia kromka chleba”, „fajki” i „flaszka denaturatu na dwóch”.

Liryczny opis małej ojczyzny spod Dębnicy i „mojej Ojczyzny”, tej „dwanaście kilometrów stąd” odnajduję w wielu wierszach. „Tam za wzgórzem jest Polska” to utwór ze strony czterdziestej dziewiątej, w którym czytam: „jak uda mi się pokonać dziury na drodze/to dojadę do mojej Ojczyzny”. Norwidowska koncepcja ojczyzny („kraju tego”) jako wielkiego zbiorowego obowiązku jest w wierszach Fryckowskiego oczywista i tak odczytuję przesłanie autora tomu „Jestem z Dębnicy”, mimo że nie zostało wyrażone explicite. Gorzkie, sarkastyczne strofy są dokumentem odpowiedzialnej obserwacji i diagnozy bieżącego życia prostych ludzi w konkretnym czasie i przestrzeni. Rolą poety, nie od dziś, jest widzieć ostrzej, mówić dosadniej, prowokować, poruszać sumienia. Nasycenie realiami zupełnie niepoetyckimi, powiedzielibyśmy publicystycznymi, jak: „rokowania o tarczy”, „kłótnia o samolot”, zakupy w Realu („Tam za wzgórzem jest Polska”), bieda, patologie („Zosia, córka Fiasty”, „Pierwsza pomoc po polsku”) oraz szczegółowa topografia z nazwami ulic, rzek i miejscowości sytuują książkę Fryckowskiego w słupskim regionie, ale waga spraw i konkluzji wykracza poza bieżące zdarzenia i konkretnie opisane miejsca. Nasycenie realiami to tylko znak, że nasze życie toczy się nie gdzieś i kiedyś (na telewizyjnym

ekranie), ale tu i teraz, a Polska, jak sarkastycznie stwierdza poeta, to jest kraj wielkich możliwości / wszystkim wolno go opuścić". Tylko dlaczego autor tak boleśnie się weń zanurza? I dlaczego przywołuje Norwida, który od dawna stoi na półce, a powinien być częścią naszej powszechnej świadomości narodowej?

Opis małej ojczyzny począwszy od wiersza „Droga do Skarszewa”, o którym pisałam („Wieś Tworząca Nr 1 (36)/2009), do kończącego rozdział „Lasu przy Skarszewskiej” daleki jest od bogoojczyźnianych obrazków i utożsamiania się z otaczającą regionalną i narodową codziennością. Trudna to miłość do miejsc, gdzie „do posesji niechluja kurewskiej łajzy/która podrzuca śmieci do lasu” pies nie doprowadzi, bo pokaleczy łapy o butelki zgniatane na miazgę, gdzie „kobiety rozebrane z marzeń” („Kotysanka dla Skotawy”, str. 30) i „wo-

*„Przyjedź do mnie chociaż raz
a pokażę ci pętlę rzeki
którą zarzucam na łkające gardło
i daremnie próbuję jak Wojaczek
odrzuć stopami upodloną planetę”*

Spróbujmy najpierw rozwikłać niezwykłą, wieloznaczną metaforę. 11 listopada 1971 roku dwudziestosześcioletni kontrowersyjny poeta Rafał Wojaczek zmarł śmiercią samobójczą. „Poezję Wojaczka trudno oddzielić od życia i legendy poety-straceńca, który ją sam kreował. Jego samobójczy gest jest reakcją na „piekło dnia powszedniego”. Jego głód, ból i samotność miały konkretny społeczny sens, były reakcją na martwy, pomarcowy, gomułkowski czas”, tak pisał o autorze „Poematu mojej melancholii” Tadeusz Sobolewski po projekcji



kół tak cicho, że rozpacz dojrzeć” („Dębica, Wigilia 2008”, str. 29), a podmiot liryczny wyznaje: „żegnam kolejny dzień, który mnie nie cieszy” („Kotysanka dla Skotawy”). Opisu realia gorzko upoetyzowanej codzienności Jerzy Fryckowski korzysta z różnych warstw języka. Jego wiersze zostały nasycone formułami i zwrotami potocznymi, bo one najbardziej przystają do realiów codziennego „popegeerowskiego” życia. Obok potocznych pojawiają się wulgaryzmy: „...do posesji niechluja kurewskiej łajzy / która podrzuca śmieci do lasu” lub „zapięprzaj Rysiu” („Do R”), gówniarze, nachlać się i inne.

Język poetyckiej wypowiedzi, bogaty w oryginalne metafory, wykorzystujące przesunięcia semantyczne języka, (np.: klawisz, szczeniak, pętla rzeki, wino-wina) oscyluje od literackości do wulgarności. Gra różnymi odmianami polszczyzny to świetny sposób tworzenia napięcia znaczeniowych i emocjonalnych. To także adekwatne do rzeczywistości naszego czasu operowanie językiem, uświadamiające wielosegmentowość współczesnej kultury. (Np. grupa Totart i Maślowska).

Na uwagę szczególną zasługuje wiersz „Skotawa” (str. 28). Monolog liryczny ma formę apostrofy, a ty liryczne wywołane czasownikami w drugiej osobie: „przyjedź” jest nieobecnym słuchaczem wzruszającej opowieści o psie Budrysie, ważnym w przestrzeni uczuciowej autora i o ucieczce przed samotnością. To wiersz o potrzebie bliskości, miłości, odpowiedzialności:

filmu „Wojaczek” Lecha Majewskiego. Twórczość Wojaczka jest zamknięta, ale ciągle przywoływana z wielu, nie tylko artystycznych, powodów. Owe powody to między innymi nowatorstwo językowe, wprowadzenie do poezji tematów tabu, zakwestionowanie norm eufemistycznego mówienia i przede wszystkim wrażliwość etyczna poety. Jerzy Fryckowski w tych kwestiach wydaje się być blisko postawy twórczej Wojaczka, ale jego planeta jest jednak bogatsza o psa i bezsporną wartość: w życiu - dwie rzeczy główne: miłość i śmierć, jak wyznaje za Lechoniem. Dlatego kończy wiersz słowami:

*„Za każdym razem wracam na ziemię
bo wystraszony pies przysiadł na tylnych łapach
i liże moje dłonie”*

Poezja jest pytaniem o wrażliwość odbiorcy, wrażliwość nie tylko na precyzję słowa. Świat, w którym spotkamy liryczną bohaterkę wiersza „Łemka” komplikują konteksty historyczne i kulturowe wprowadzone przez autora czytelnymi aluzjami: „przywieziono ją zza Wisty”, „noce przesłuchań”, „w pięćdziesiątym szóstym z odwróconego taboretu przesiadł się na traktor”. To również historia trudnej powojennej lekcji życia obok siebie w obcym krajobrazie: „Już nie wyzywają jej od wariatów”, „przyglądają się świętemu Andrzejowi / głupcy... chcą tyle płacić za pomalowaną deskę”. Podmiot mówiący

tego narracyjnego wiersza w ocenie świata przyjmuje perspektywę bohaterki, wyrażając tym samym swoją sympatię.

Jest w tomie Fryckowskiego piękny wiersz na trudny moralnie, choć aktualny temat. Wpisany w mapę linii autobusu „Jedenastka” cichy heroizm serca matki, która: „uratowała kilka istnień/jednym podpisem na chwiejącym się biurku ordynatora” staje się pytaniem o naszą gotowość niesienia pomocy mimo cierpienia. To postać zbolętej matki siedzącej w autobusie jak w piecu, która swój ból zmienia w odkupienie, nadaje naszemu istnieniu nie tylko biologiczny wymiar. „Matka dawcy”, a kilka stron dalej wstrząsający tekst „Zosia, córka Fiesty”, w którym matka swą winę za upodlenie dziecka topi w winie. Różne są oblicza macierzyństwa, różne miary człowieczeństwa. To wiersze powściągliwe w warstwie emocjonalnej i językowej, autor unika ocen i oskarżeń, rejestruje fakty, odbiorcy pozostawiając ich interpretację. Takich wierszy - pytań o miarę naszego człowieczeństwa na podobieństwo jest w tomiku Jerzego Fryckowskiego niemało. Motyw powoływania życia: „Adzio Banan i ja / trzech cudotwórców/którzy ze swoimi kobietami / potrafili stworzyć człowieka” („Uczta bogów”), „ze swoim facetem idą spać do łóżka. / Wtedy rodzi się Chrystus.” („Dębica. Wigilia 2008”) zrównuje poeta z aktem stworzenia. Skoro w opisie świata nakładają się motywy sacrum i profanum, a rytm roku znaczący jest świętami Bożego Narodzenia i Wielkanocy, to opis ich celebrowania jest pytaniem o kulturę życia religijnego.

„Powrócił tatuś z karpiem nad ranem,
kiedy trzech magów dzieciom się śniło,
padł na kolana, rozgarnął siano,
ale Jezusa już tam nie było”

(„Wigilia w mojej okolicy”)

Szlachetną barwą liryczną znaczą się wiersze Jerzego Fryckowskiego o rzeczywistości najbliższej, ojczyźnie-ojco-

wiznie, gdzie świat spowity jest miłością bezwarunkową. W tym świecie rozstania, ból, choroby, troski i cierpienia wpisane zostały w naturalny porządek rzeczy. Najpiękniejsze wiersze poświęcił matce, wpisując się w wyjątkowy w polskiej literaturze cykl wierszy o matkach poetów zapoczątkowany przez Kochanowskiego i Słowackiego. Wiersze te, zebrane w rozdziale „Zmartwienia ze srebra”, wyróżniają się uporządkowanym trójstroficznym układem (poza pierwszym czterostrofikowym), a ukształtowane zostały w formę liryki zwrotu do adresata. Każdy z ośmiu „Listów” rozpoczyna się apostrofą matki: „Synku”, „syneczku”. To wiersze o tęsknocie, o miłości potężniejszej niż śmierć. Są to piękne, dojrzałe liryki, szczere, proste, wzruszające.

W osobny, osobisty świat wpisują się postaci ojca, żony, córki i ukochanego, „uczłowieczonego” psa Budrysa oraz uczennic, które stały się matkami. A między światami - osobistym i zewnętrznym tylko „litrowa wyborowa wystaje jak wieża Babel / a mimo to mówimy tym samym językiem” („Uczta bogów”). A skoro tak, jest szansa - mówimy tym samym językiem. Może więc pięć wierszy z rozdziału „Kiedy będę umierał” to literacka konwencja, zgrabne resume, bo przecież „obudzisz mnie rano” i rozmowa poety z odbiorcą rozpocznie się na nowo.

I można by dyskutować czy Michnik jest lub był i dla kogo „narodowym autorytetem” (JP II trochę później?), czy wizerunek kobiety w jego wierszach nie jest uproszczony i seksciarski, czy miernikiem poziomu inteligencji rodaków jest wysunięty środkowy palec. Można dyskutować, ale trzeba te wiersze uważnie przeczytać. Wiersze Jerzego Fryckowskiego z tomu „Jestem z Dębicy” wzruszają, prowokują, oburzają i złością, i to jest ich siłą.

Czesława Długoszek, Objazda

Jerzy Fryckowski, „Jestem z Dębicy”, Wydawnictwo LenArt, Słupsk 2009.

Łączy nas słowo - tylko i aż...?

Młodzi duchem i ciałem, łaknący świata przekazywane nam przez innych maksymy Jego powstawania, konstrukcji, domniemane reguły istnienia, przyswajają szybko. Od nauczycieli zależy w jaki sposób to się odbędzie i w jakiej kolejności, stosując kolejność zasad w mowie i piśmie. A konotacje poszerzane, zawężane lub co gorsza pogrubione (nie czytaj - gruba kreska) prowokowały do przemilczania. Coś na kształt opery, gdzie wypowiedziane słowo jest srebrem, a milczenie - złotem. Nie mówiąc o zdradzanej poprawności, kiedy przekaz myślowy zaczynało się słowem „bo”. Wtedy nawet o srebrzykach nie było mowy.

Jerzy Fryckowski - jak dwa skromne słowa, to nie tylko człowiek wśród nas. To, jak kto woli, czarka zaledwie lub konchi słów ulotnych połowa. To awers i rewers wyznania, odczuć twórcy i druga składni część - nas, odbiorców doznania. Słowo na teraz, na później może, może przez erzet, przez zet z kropką nad - może, wydzwania, ktoś inny powie - cedzi tembr gardłowych cieśni od drzwi powitania. Przyjął nas poezją ze smaczkiem Dębicy. Po staropolsku winem, słodyczą - o miodowym posmaku. Nieco arystokratycznie przy gorącym kominu z rzadka (ostatnio) na jego licu goszczącym uśmiechem.

Słowem - pańska, koleżeńska, przyjacielska, poetycka uczta. Aczkolwiek czegoś tu brakowało. Czy owo „niedopowiedzenie” spotkania zagrało samym talentem, który z każ-

Bo na początku było tylko
Słowo. A słowo ciałem się
stało. Ma to wymiar duchowy,
a stając się wyrazem,
już bardziej materialny.



dego miejsca emanował bliznem? Jego wiersze są o nim, są o nas, o naszych jaskrawościach i o naszych cieniach. O naszych wątpliwościach i niedopowiedzeniach.

Jest tam smaczek niebieski jak niebo dające nadzieję, jest też czarny jak ziemia lub nicość. Pomiedzy spotykamy tęczowe życie, pulsujące i bogate na ile człowiek narzędziami Stwórcy wykrojona osobowościową wrażliwością ogarnie to całe bogactwo. Powyższy niedosyt - brak zaowocuje z pewnością oczekiwanymi, następnymi spotkaniami z poetą.

Recenzent tomiku pt. „Jestem z Dębicy” - Rafał Jaworski (znany i uznany poeta, malarz, autor ikon) wstęp do książki zatytułował: „Zachował prawo do nazywania go Poetą”. Chętnie dodałbym: - z oczekiwaniem na dalej nieomal ostatecznym. Jaworski pisze: „nie klaskał i nie klaska językiem,

klaskaniem nie odbił sobie podniebienia jak - jak wielu zdecydowanie bardziej uznanych i pomnikowatych konstruktorów wierszy". Za to myśmy jemu klaskali, a było to, jak odczułem, klaskanie niehołdopodobnie, a szczerze i uznaniowe. Spotkanie ze słowem żywym odbyło się w GOK-u gościnnej Dębicy Kaszubskiej, gminie kilku innych utalentowanych autorów po piórze, włodarzy życzliwych naszym poczynaniom. Czytanie wierszy ustami autora przeplatały tony muzyki fortepianowej płynącej spod palców znakomitego młodego artysty z Ełku,



studenta uczelni w Gdańsku, pana Piotra Kajetana Matczuka (na szczęście ma zaufanie do czarnych klawiszy - dop. aut.), który grając zadysponował poezję śpiewaną znanych poetów. Wykonał to po mistrzowsku.

Gdzieś w półmroku „długich cieni”, na sali dyskretnie „ocieplała” gości bohaterka wielu utworów Jurka - żona Elżbieta. „Głębiej” pogłębiały schody dla niektórych prowadzące prawie aż do nieba. Upiększały kwiaty te żyjące i te już nie. Były gratulacje, życzenia od wielu osób wypełniających szczelnie salę. Oczywiście, nie było zachęt do dalszego tworzenia, bo wiem, że nie tylko „flaszka na stole przyspieszała jak wentylator” (cyt. ze str. 18 książki), a przyspiesza życie jak poezja rozpędzona kołem zamachowym wodami Skotawy - rzeki płynącej w sercu Jurka.

Dziękuję Wszystkim, których tu nie wymieniłem za przygotowanie uroczystości. Nawet nie skarżę się, że jadąc doń nie urwałem koła pojazdu, który ostatecznie mnie z żoną tam dowiózł. Przepraszam też za to, że niedyskretnie śledzę ruchy W.Z.H. - Wielkiego Zderzacza Hadronów zaniedbując spacer i podróże z Herodotem śladami Homera kosztem coraz częstszych odwiedzin w Dębicy Kaszubskiej. Winię za to nieziemskie przyciąganie i liczę na pierwokup.

Dorzucający kilka kropel ze źródeł Skotawy - mojego miejsca zamieszkania, spacerów z rodziną i psem.

Piotr Wiktor Grygiel, Jasień



Najnowszy zbiór wierszy Piotra Grygiela to nie tylko, jak podaje we wstępie do niego Mirosław Kościeński, zielnik kwiatowy, ale także studium psychiki ludzkiej. Porównując tomik Na grzbiecie lśniącej minerwy z nowym zbiorem Flagowy okręt grządek, wydaje nam się, że twórczość tego poety zmienia tor i swój naturalny bieg.

ty i umieszcza je w metaforycznym zielniku, zamyka chwilę piękną w jednostce, którą zwiemy: „wieczne teraz”. Poeta-rzeźbiarz konstruuje następujący obraz:

*„Różnokolorowe
Szlachetnego kroju
Atlasowy zapach
Ścielą po pokoju”*

Poetyka sztuczności („atlasowy zapach”), którą zongluje Grygiel, to przecież stała cecha wielu z jego utworów. Dlatego właśnie poeta ten uczy nas poetyckiej ikebany. A najlepszym jej nauczycielem jest wzruszenie. Dokładność opisu, a zarazem precyzja formalna utworów, pozwala odnaleźć nam klasycystyczny ład. To tak jakby poeta mówił nam, że miłość należy ośwoić, ułożyć ją w hierarchii swoich wartości i zachować, trwać w niej nieskończenie.

Układ wierszy wprowadza do rozważań o tomiku także koneksje ze zbiorem Poema. Naiwne Czesława Miłosza. Wiersze o błahych sprawach mogą się okazać drogą do zrozumienia świata. Co więcej, autor tomiku stara się wykreować nowy status piękna. W wierszu o mleczu pisze bowiem: „Bo co piękne szybko znika”. Nowa estetyka, definicja piękna nie polega tylko na „kartograficznym” odwzorowaniu postaci kwiatu. Właśnie ten zbiór poezji przypomina nam, że pięknem jest przemijanie samo w sobie. Mimo to, cykliczność bytu wydaje się tu pominięta. Okazuje się jednak, że wystąpienie poety od idei wiecznego powrotu jest jedynie pozorne. Cyklem poetyckim jest już samo uporządkowanie kwiatów. Bo przecież przemijanie jest naczelnym tematem tomiku. Każdy kwiat zakwita, mimo że gnieździ się w nim również śmierć. Gdy przekwitają jedne kwiaty, pąki kolejnych dopiero dojrzewają. I tak wszystko przemierza coroczny cykl. Istotą następnego z kolei tomiku Grygiela jest więc porządek, nieco renesansowa harmonia natury. Ale i tu tematyka wiecznego piękna styka się z nieuchronnym przemijaniem.

definicja piękna

Tymczasem należałoby wysunąć hipotezę, że pozorna zmiana tematu, zejście z tonu, rezygnacja z patosu na rzecz prostoty nie jest odwrotem od źródła, do którego w obu tomikach brnie Grygiel. Bo kwintesencja i smak poetycki pozostaje ten sam. Metamorfozie ulega tylko jego szata.

Pytanie kolejne, które należy postawić sobie przed rozpoczęciem dyskursu o poezji Piotra Grygiela, dotyczy sfery czasoprzestrzennej. Czy jesteśmy w ogóle w stanie określić moment istnienia poszczególnych kwiatów, jak określamy ich trwanie, co one symbolizują, czym są? Od razu po przeczytaniu takich wierszy jak chociażby „Frezje” uświadamiamy sobie, że tomik przyjmuje niekiedy kształt erotyku czy nawet miłosnej refleksji, przelotnego, impresjonistycznego wzruszenia. Bo przecież wszystko mija, a poeta zrywa kwia-



Autor „Flagowego okrętu grządek” jest więc pilnym uczniem natury, jej precyzyjnym obserwatorem. Dzięki kontaktom z naturą odkrywa jej sakralność, inny wymiar bytu. Bo przecież przeciętny człowiek nie zauważy, że gladiola jest „dostojęstwa pełna”. A poeta nie tylko to zauważa, ale również eksponuje istnienie sacrum za pomocą naśladownictwa modlitwy, podkreślenia szyku przestawnego w wersie. Grygiel wywodzi więc pochodzenie kwiatów ze sfery sakralnej. Pragnie wpłynąć na czytelników, próbując tworzyć ich naturalną „proweniencję”. Gra na naszych skojarzeniach. I tak maki stają się symbolem historii, martyrologii narodu polskiego, kroplą krwi wylaną na polach, na których przez długi czas trwały walki o wolność. W kwiatach tych zamyka Grygiel pytanie o historię, przeszłość, etap przejścia z niewoli do wyzwolenia. Podkreśla również przełomowość w procesie myślenia człowieka, chwilę, mignięcie wspomnienia. Przy czym poeta wszystko to, co się wydarzyło, ukrywa w naszych genach, a kwiaty są „słodkim” przypomnieniem naszej tożsamości.

Także w wersyfikacji, swoistym i szczególnym rozłożeniu rymów chroni poeta piękno przyrody. Tajemnice uroku natury oddaje również przez wiersze-zagadki z morałem, np. w „Lwiej paszczy”:

*„Czas więc już zakończyć
te roślinne łowy
Zwłaszcza, że prócz paszczy
brakuje im głowy”*

Zabawy i gry literackie o Bakowskiej proveniencji dostrzegamy również w utworze „Pierwiosnek”. I to właśnie w tym przypadku możemy mówić o „barokowych zakusach” Grygiela. Tak jak siedemnastowieczny liryk, ks. Józef Baka, współczesny poeta podkreśla wymiar egzystencjalny natury za pomocą rymów: primula - bidula; stworzona - wrzucona. Oznacza to znacznie więcej niż tylko mieszaninę naiwnie i przypadkowo dobranych słów. Pod płaszczykiem i zasłoną wiersza o „pięknych kwiatach” pojawia się myśl o przemijaniu. Podobny zabieg dostrzeżemy w wierszu „Chryzantema”. Perspektywę wieczności zamyka poeta w obrazie nigdy nie tonącego statku. Tymczasem i on przemienia, co chce zasygnalizować autor „Chryzantemy” poprzez gry słowne: „Nigdy nie tonie - Jej żagiel płonie”.

Niekiedy w utworach tego poety mamy do czynienia z zaskakującym zestawieniem formy i treści wiersza. Co znaj-

duje się poza nimi? Barokowa percepcja świata wyrażona poprzez budowanie „tekstualnego labiryntu” okazuje się reakcją na otaczający świat. Technika nadmiaru, z jednej strony, oraz metoda zaplątania czytelnika w tekst, z drugiej strony, pojawiają się w utworze pt. „Powój”. Przytoczmy chociażby fragment tego wiersza, którego tematem jest tytułowy powój, ale również nieskończoność:

*„Wychował ci on i ogrodowego
I jak pies jamnik ogrodnika
Przy ziemi szparki, zakamarki przenika
Wężowa technika”*

Powój pnie się aż do nieba. Ten ruch wertykalny ku górze naznaczony jest „barokiem” poprzez językową sztuczność przedstawienia, naturalnej przecież, rzeczywistości. Pojawiają się tu również groteskowe inkrustacje. Ta „powoi parada” wyolbrzymiona przez grę słów i wyeksponowana w czymś, co Grygiel nazywa „wężową techniką” rozpytywa się w nicość. Powolne wzrastanie roślin zyskuje w wierszu wydzwięk dynamizmu życia, nieustannego piętrzenia się ku światłu, nałożenia jednej warstwy liści na drugą, a w konsekwencji na tworzeniu sztucznego, barokowego nadmiaru w postaci enumeracji kolejnych składników. Poetyka zbliżenia („kwiat jak megafon”, „kielichowe ucho”) i oddalenia („różnych sąsiadów dosiada”, „nowych eskapada”, „powoi parada”) potęguje wielowymiarowość obrazu poetyckiego w „Powoiu”. W rzeczywistości poetyckiej powój przyjmuje więc formę szczególną. To jeden z artefaktów wyobraźni Piotra Grygiela, odnaleziony w kolejnym tomiku element dawnego światopoglądu, będący prostym odwołaniem do XVII-wiecznej tradycji i techniki obrazowania.

„Kwiatny temat” jest tylko „zasłoną dymną” rzeczywistych rozważań poety. Grygiel nie neguje jednak swoich pierwotnych konkluzji. Wręcz przeciwnie, powtarza je uparcie, sądząc, że w przemijającym trwaniu odnajdujemy życie, życie które miesza się ze śmiercią, śmierć, która jest nieodwołalnym życiem. Ale to tylko jedna z możliwości interpretacji nowego tomiku artysty...

Anna Łozowska, Słupsk

Piotr W. Grygiel: Flagowy okręt grządek, Starostwo Powiatowe w Słupsku, 2009 r.

wiersze najnowsze

Czesława Długoszek, Objazda

Spadli w tę ziemię z pyłem wojennym
Nadzy, wyrwani z miejsc ukochanych
na kresach
odziani aktem nadania, spisem
inwentarza
w którym stół i krzesła obcym
zapachem
świadczyły o prawie niewłasności.
On w wytartym mundurze, ona w kusej
sukience
z posagiem rozstań, ran, win
niezawinionych
składali szczęście z cichych rozmów,
niepewności, walizek gotowych do drogi,
rąk po zmierzchu zanurzonych w ziemi.
Szumem pasieki i ciepłem chleba
obłaskawiali
miejsce dla ptaków z siebie zrodzonych.

Boi się swych myśli gdy zerwane z uwięzi
Rozpierzchają się jak spłoszone ptaki
Zgarnia je pośpieszenie ze wstydu przed sobą
Musi być po Bożemu tak uczyli
Gdy na skrzydłach strachu i uduchowienia
Wracała z nauk kościelnych
Utrwalił je dla zabawy wiejski łobuziak
Julek K
kamienną pieczęcią na nosie
Ona w pokorze nastawiła drugi policzek
Pacierz na klęczkach szacunek dla starszych
Nawet szacunku niewartych
Miłość małżeńska milcząca pośpieszna
Przypowieść o dzbanie czyni cuda
Buntuje się zrywa niewidzialne nici
Uczy się wolności najpierw w słowie

Spotkali się przypadkiem jak to na dworcu
Gdzie pociągi się mijają i słowa
mówili obok siebie
Jeden głodny czekał na natchnienie
martwił się
o rodzeństwo które czyta jego wiersze
drugi bez pieniędzy zgrał je w totka licząc
na szczęście
zamiast wymarzonej przez żonę
glazury w łazience wydał tomik wierszy
nieudany
tu na dworcu w tłumie są łatwo
rozpoznawalni

naiwni i patetyczni
jeden czeka na sławę i miłość
drugi na pieniądze z literatury
obaj pełni wiary
ufni jak dzieci
po prostu poeci

Teresa Nowak, Łupawa

TRYPTYK NA JESIEŃ

Idzie jesień w mokrych butach,
W kusym płaszczu z ortalionu.
Idzie wolno, opieszale.
Zamiast złota w sakwie błoto.
A na plecach worek wspomnień
Na pociechę i na smutek,
Na zgryzotę i nadzieję

Pod taflami kałuż
W objęciach beztroskich wspomnień
Usypia kurz.

Rozgościły się już na dobre bibeloty
wspomnień
Pokarm i trutka na długie wieczory,
Rachunek sumienia i bilans czynów.

Chryzantemy z ogrodów wędrują na
cmentarz.
Ośłoda samotności grobowej architektury.
Do ciepłych płomieni zniczy,
Zapachu chryzantemy
Garną się z nicości zmarli.
Mają nowe oblicza, nowe ich szaty
A światłość i wzniosłość wokół nich
A znaków boleści i cierpienia nad miarę
nie ma w nich

W drodze do Boga zostawili wszystkie
ziemskie sprawy
Ból i trwogę i niepewność i uniesienia
W tunelu do światłka oczyścili się z
przywar i grzechów
W świetle zniczy jawią się tacy beżcieleśni
Idee w zamysle Platona
W doskonałej rycinie
W pamięci żywych nie ma miejsca na
grzechy
Drodzy zmarli sprawionym bólem
oczyścili się.

Śmierć katharsis żywych
Skąpani we łzach rozpaczy

I bolesnej świadomości strat
W drodze na tamtą stronę
Zagubili swoje człowieczeństwo
Z całym bagażem ludzkich odruchów

I nie wiem, czy zdrada, pijaństwo,
morderstwo i całe zło

Jakiego zaznano
Pochodzi od drogiego zmarłego
Czy to tylko wymysł jesiennej szarugi.
Nikt nie mówi
O krzywdach wyrządzonych za życia
Jak gdyby nigdy takowych nie było.
Po stokroć opisany i opowiedziany
uczynek dobra
zwielokrotnione gest ofiarny, spotęgowane
miłosierdzie.

Z pęku chryzantem, z płomieni zniczy
Twarz matki się wylania,
Pogodna, jak wtedy gdy śpiewała kobysankę,
Pochylając się nade mną,
Bez śladu cierpienia.
I z ust znikł bólu grymas.
Obok ojca zacna twarz.
I w oczach nie ma zatroskania.
Matka i ojciec jak z ślubnej fotografii,
Wewnętrzny blaskiem mienia się i lśnią
W milczeniu toczy się rozmowa
I w jedną stronę biegną słowa
Z daleka skądś powraca ból.

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka

I WE MGLE JEST PIĘKNO

Dominice Felbi

W piątkowym stroju,
jakby z epoki romantyzmu
na balkonie modelujesz klimat.

Podoba mi się to ujęcie -
drzewa za Tobą spokojne
i kolory są spokojne.

Dominiko w tajemniczym kapturze,
czy to śnieg spadł w Twoich stronach?

Sugeruję że tak,
dlatego drzewa bez ruchu
odpoczywają - wiatr też spoczywa.

Ale to nie znaczy,
że nie możemy być bliscy
w wierszu zapisanym
który na balkonie szuka miejsca,
choćby w doniczce.

Zbliżę się,
powiem Ci o puencie

- ona rozrasta, pęcznieje,
nadaje ruch dynamiczny ku wzorom na
szybie,
szczególnie zimą.

- Jeśli Ci będzie zimno,
ogrzeję męską temperaturą...

Ewa Bawolska, Stębark

Z CHAOSU

(jesień 2003)

Na pograniczu spotkania
dwojga niczemu niesłyszających
jest
początek
stwarzania porządku dnia
i końcowego sprawozdania
Zdarza się także
wyjątek
gdy pogranicze
jest samym środkiem
wyłożonym
od brzegu
regalu myślenia

Na gładkiej tafli
nostalgicznej zadumy
poprzez zawzięte
nicnierobienie
z samego środka jestestwa
wyrywa się
wzburzone znudzenie
I w wir prób
swego cośdziałania
porywa znudzoną głupotę
Na koniec nicniezdziaławszy
oślepia wrzaskiem
porażki
wciąż harującą robotę

Oblany potem - bez przymiotnika
w kotłunie zmysłów
okradzionych
z tajemnic grzechu
dotykam
przedmiotu odczuwania
I chcę
odnaleźć
podmiot tutrwania,
Dotrzeć do pierwszej
kropki miłości
tak oddalonej
od źródła
przyczyny wszelkiego
nicniebolenia

KWARTET

(lato 2006)

smutek
usiadł obok

jak dwie litery w wyrazie
patrzy na mnie oczami pełnym
zdziwienie
po co ci tyle łez pyta
i nadstawia się dżbanem
po moje wzruszenia

zmęczenie
siadło na taborecie
zamknęło w dłoniach
drobny paciorek różańca
i kciuki w młynka plecenie
nogi ciężkie jak kowadło
czekają
odrobiny zimnej wody w misce

zniechęcenie
przywlekło się
w wątpliwych zamiarach
i czyha na nieuwagę
odciąga od planów terminy
i kradnie kawałek po kawałku

radość
wbiegła po schodach na siódme piętro
rzuca po pokoju rozbiegane spojrzenie
a złapawszy mnie na dnie fotela
woła od progu
choć prędko
pokażę ci nowiuską zieleni

Kazimierz Kostka, Wodnica

NA ŚCIEŻCE ŻYCIA

Tańcz Kaziu, tańcz
Tańcz z jagódką
Tańcz z borówką
Tańcz z Małgością
Tańcz wokół krzaczka
Tańcz sam ze sobą, tańcz
Tańcz rano, tańcz wieczorem
Tańcz gdy słońce wschodzi
Tańcz gdy północ w nocy
Tańcz, bo życie jest tańcem
Na ścieżce życia
Tańcz od rana do wieczora
Tańcz w południe
Tańcz gdy księżyc w nocy
Tańcz, bo wszystko tańczy
I księżyc w pełni
I ziemia się kręci
Tańcz, bo życie przemija, tańcz
Tańcz na tej ścieżce życia
Tańcz Kaziu, tańcz

KIM ON BYŁ

Udało mi się Jego spotkać
Wiem, że był to cud
Idę teraz tą drogą -
Drogą którą chodził Bóg
Kim On był

Z kim On był
Z Bogiem był
Ucałował naszą ziemię
Jak ten kwiat
Narodowi ducha dał
I przemierzył cały świat
Jak ten wiatr, jak ten wiatr

POWRÓT

Noga za nogą
Nóżka za nóżką
Szedł sobie Kazio
Połą dróżką
Szedł przez las
Rzekę i strumyk
Most i mosteczek
Szedł łąką i miedzą
Tą ścieżką szedł
Szedł na paluszkach
Cichutko tą dróżką

Kto w duszy ma ciszę
Ten wiersze pisze
A kogo głowa boli
Ten gryzmoli

Grzegorz Chwieduk, Kępice

(znacząco stoi u męża boku...)

znacząco stoi u męża boku.
Natalia jest niesamowita. jest cudna.
uśmiecha się szeroko.
gdy tylko rok temu
zgodziła się zostać żoną Marka
on uznał siebie
za prawdziwego farciarza.
ich związek to lot na skrzydłach
młodzieńczego entuzjazmu.
udane życie erotyczne oraz uczuciowe
dodaje obojgu urody.
samotna sąsiadka z dołu
która nigdy nie dostała
kwiatków za darmo
i tak wie swoje.
jeszcze da im popalić.
openuje przecież
wszędobylskim skrzekiem.

Anna Karwowska, Dobieszewo

KOCIE ŁBY

Zawsze te same
nienaruszone od lat
ta ziemia pod nimi, co
patrzy na świat przez szczeliny.
Niejedne ślady na nich nakreślił czas
deszcz zmywał z nich kurz

może kiedyś krew? - zostały
nie drgnęły nawet.
W człowieku zgubiła się pamięć,
że te kamienie
na środku swojej wioski - po której
chodzisz codzienne, które widzisz
przez otwarte okno.
Z wielką precyzją
układała ręka
Helmuta Hansa Czerwina - więc
nie próbuj porównać ich
z czarnym asfaltem.
Te „kocie łby”
to woń przeszłości, to historia
gdyby mogły mówić...
taka jest kamienna dola od wieków
dobrze służyć nic nie mówić.

Irena Peszkin, Koszalin

MOŻE NALEŻAŁO

Wyrwać się z płataniny
oszołomień
Wyzwolić z własnych pęt
przyzwyczajenia
Wydrzeć światu receptę
na podboje
Zdobyc
bezwzględności tajemnice
Może taki cel należało obrać
ruszając w życie

KLUCZ

Widziałam dzisiaj
Klucz do nieba

Na błękitie bladym
wysmagany
aurą października
komendą rozkrzyczany
ruchliwy
czarny klucz
ostatnich żurawi

Ulotne znamię jesieni

I to muśnięcie
żółtym zapachem liścia
co zwirował
i sfrunął na ramię
jak kropka nad „i”
jesiennej przechadzki

A spacer - urokliwy
jak udane kadry
pogodnego filmu
z efektami szelestu
chrzęstu żółędzi
akcentami irgi
wielobarwnej
i miłego szczebiotu

wśród krzewów
i koralowych jarzębiny

I jeszcze
ten cichy powiew
nostalgii

Obrazy
zamotane w srebrny muślin
pajęczyn jak w kokonie
do snu ułożę w pamięci

Jan Kulasza, Strzelce Krajeńskie

NAD BIAŁĄ ŁADĄ

dlaczego się chowasz
rzeko dziecinnych mych lat
nie tam twe brzegi były
czy smuci ci dzisiejszy czas
czy w źródłach wody ubyło
czyś je już wyczerpała
wody na ziemi jest dużo
tyś schudła, jesteś wąska i płytka
gdy byłem małym dzieckiem
w tobie się kąpałem
wiem życia ubywa
byłaś szeroką, leniwą
nie jeden raz krwią spływałaś
czy i dla ciebie czas się kończy
rzeko dziecinnych mych lat
pozostań z nami
Biała Łado nasza

Danuta Kmiecik, Zaleskie

POMALUJE

Pomaluję całe niebo, wszystkie chmury szare,
Nad zamglonym horyzontem
porozwieszam szale.
Zbuduję most tęczy jak cięciwę wielką,
Zaróżowię mgłę poranną purpurą kropelką.
Krople deszczu pozamieniam w fontanny
ze srebra.
Czarny - tylko będzie miała na swych
paskach zebra.
Morze - zrobię szmaragdowe a słońce ze
złota.
Szara - będzie mała myszka i wąsik u kota.
W każdej stronie na balkonie postawię
wachlarze,
Wszystkim dzieciom w sto kolorów pomaluję
twarze.
I nie będzie burz, kłopotów - żadnego
frasunku.
Będzie pięknie i bajkowo na moim rysunku!

MGŁA

Snuje się po ziemi biała pajęczyna.
Muślinowy welon nad łąką rozpina
i miękko owija jakby dla zabawy

Zagon koniczyny, powoje i trawy.
Pełźnie przez rowy, miedze i ściemiska,
białymi mackami do stodoł się wciska.
Niczym pajęczyna zdradziecko otula
Ogród za stodołą.
Zagłada do ula.
Wznosi się wysoko, sięga prawie chmur
i buduje gesty, niewidzialny mur.
Panoszy się wszędzie, osacza i łudzi
i częstuje chodem zagubionych ludzi.

Emilia Zimnicka, Izbica

MOJA MIŁOŚĆ

Ubiorę cię w srebro rosy
W barwy zorzy najczerwieńszej
Do stóp ci położę kłosa
Te najzłotsze, najpiękniejsze
Jesienny klucz żurawi szumem
Pieśń cud w noc
Tęsknoty ci zanuci
Ciemne lasy
Rzeki fale
Rozwiej twój miły smutek
Gwiazdy złotym migotaniem
Sny ci zesłaj kolorowe
Księżyć światłem magnetycznym
Twą oświećli głowę.

ODLECIAŁY JUŻ BOCIANY

Odleciały już bociany
Z naszej małej wioski
Pozostały puste gniazda
I codzienne troski

Pozostały puste gniazda
I ten tęskny żal
Za tym ciepłym cudnym złotym
Co odeszło w dal

Wróćcie do mnie ptaki wiosny
Wraz ze słońcem w parze
Szczęście, radość znów przynieście
Dobrym ludziom w darze.

Jadwiga Michalak, Naćmierz

BRZOZA

W cienkie włosy
wplotła
biały wianek
szronu.

Panna młoda
uśmiechem błękitu
wita
tancerki zimy
opadające
na śnieżny dywan.

PRZYSTAŃ

Byłeś łabędziem,
ja jedną z fal,
którą ukryłeś
dla siebie.

Odpłynęłam
z przystani
miłości.

Ina Kawecka, Siewierz

CZARY

Zaczarowałam cię - pamiętasz?
Zauroczyłam jak wiedźma czy wróżka
Zakłętałam przy blasku księżyca
Stworzyłam nasz własny elementarz
Spośród gestów tysięcy znaków
Darowałam ci tylko te własne
I dostałam od ciebie - te dla mnie
Dla mnie dzisiaj i dla mnie na zawsze
I nie oddam ci nigdy niczego
Żadnych gestów, ni uczuć, ni doznań
Ty też - zostaw sobie te moje
I na zawsze już ze mną pozostań.

CHOINKA

Ta nasza choinka tak strojna, tak piękna
Jak w sukni balowej dziewczyna
Ta nasza choinka tak jest promienna
Jak oczy dziewczęcia
Co bal pierwszy w życiu zaczyna
Ramiona tej naszej choinki są smukłe
Jak w tańcu rozwarłe ramiona
A ozdób, bransolet i bombek wspaniałych
Dziś nikt tak nie nosi jak ona
W tym roku z ogrodu przyszła nas ogrzać
Swym pełnym dobroci przesłaniem
Żywiecznym zapachem, zielenią, czerwienią
Niech wszystko co wniosła - się stanie
Co wieczór nas koi światelkiem radosnym
W etolę z kolorów ubrana
Odpływa, przepływa i życie rozjaśnia
Oddając nam swoje przesłania
Tak szkoda choinko, że w rogu pokoju
Nie możesz zostać na rok cały
By serca człowiecze w świątecznym nastroju
Tym dobrym - na zawsze zostały.

Alicja Skurzyńska, Słupsk

PODAJ RĘKĘ

gdy rozum zaćmi się od słońca
w popiół wypała tży i męka
tylko pieśń będzie brzmieć do końca
a ty mi ziemio podasz rękę

byłam jak liść w schemacie wzorów
w trawie pąsowa lśni jagoda

idę gdzie nie ma już kolorów
a ty mi ziemio rękę podaj

umilknie nawet psów szczekanie
śpiew ptaków wiatr i nieba błękit -
przyjaciół wiernych pożegnanie
przypadnę do twej twardej ręki

wyruszę w podróż już nieziemską
samotnych minę gwiazd udrękę
finisz zwycięstwa to czy klęski
lecz ty mnie otul czułą ręką

raz jeszcze spojrzę w przeszłość chmurną
przed tobą z wielką czcią uklękne
kondukt nie musi iść za trumną
bo ty mi ziemio podasz rękę

wiem że mnie nigdy nie opuścisz
blaski i cienie w dal odbiegne
wkołysz mnie w sen nieprzenikniony
matkę i ziemię ma się jedną

Eugenia Ananiewicz, Słupsk

W WINNICY

Od urodzenia
do żmudnej pracy
masz udział
w winnicy pańskiej

W niej taniec
dobra i zła
od świtu do nocy
ciągle trwa

Wybieraj, nie zgub
sensu istnienia
Pan trud twój rozliczy
bez wątpienia

Andrzej Szczepanik, Bytów

CMENTARNE LAPIDARIUM

Na kamiennych płytach niszczonych
erozją wieków

czytam ślady epitafiów
przypominają o nieodwracalności śmierci
smutek podsycia wspomnienia których

staram się wysupłać
jak najwięcej z zakamarków opornej pamięci
moja pamięć nie budzi już zaufania

zmieniając się w zbiór intencji
powtarzanych corocznie i słanych ku niebu
nie płaczę czując się nadal w objęciach
matczynej dobroci

wiem że jest tu ze mną ukryta w
chryzantemowym bukiecie
kiedys przekonywała o Bożej wszechmocy
pewna że wszyscy się spotkamy...

dzisiaj zapalam świecę aby w mrok
grobowego sklepienia
dotarło zapewnienie o mojej synowskiej
miłości

jutro zszarzeją wieńce i zgasną płomyki
zdmuchnięte
jesiennym podmuchem
umilkną słowa pożegnań szeptane zaduszną
modlitwą.

Anna Boguszewska, Słupsk

ROWIAŃSKA PORTOWA DAMA

Na horyzoncie morze

Ze zdumienia
przecieram oczy

Im dłużej patrzę
to staje się
coraz większa

Widzę ją
Rowiańska Portowa Dama
Galeon Jaga

TA SAMA SUKNIA MIŁOŚCI

Od ołtarza
w ślubnej sukni
zabrałeś ją
w podróż życia

Suknia miłości
targana upływającym czasem
sponiewierana przez życie
straciła biel i szyk

Barwy podróży
trwale zarysowały
malowane radością i smutkiem
oczy jej duszy

Z wyblakłą pomarszczoną twarzą
i poszarpanymi nerwami
już nie taka sama
lecz ciągle ta sama

Maciej Michalski, Słupsk

Stale zadajemy dziecinne pytania
my ograniczeni czasem i przestrzenią
przeliczamy pilnie podróż w jedną stronę
przesuwając wieczne granice wszechświata

ściskamy uparcie czas jak ziarnka piasku
choć niknie w niebycie gnając w obie strony
schwyta materia kurczy się i mnoży
coraz mniejsze cząstki znowu puste garście

w lunety zmieniamy płonne mikroskopy
wyruszamy w podróż do granic bezkresu
ucieka przed nami to co niepojęte
badany byżeczką ocean kosmosu

DLA CIEBIE

Jeśli coś miało dla mnie znaczenie
wiesz - coś co życiu nadaje sens
kwant światła, chwila, przeznaczenie,
jedno spojrzenie - takie spod rzęs.

Jeżeli warto dla takiej chwili
w stalowej sieci wierzyć i rwać
sącząc swe życie mila po mili
i każdą falę na klatę brać.

Jeżeli pianą być albo pyłem
pastwą żywiołów - bez litości
dla twoich spojrzeń tym wszystkim byłem
i warto było być dla miłości.

Bo słowo jest wieczne mimo tysiącleci
czytamy Norwida, Homera, Platona,
kreujemy słowa my Boży poeci
straż przednia dla jednych a dla drugich
sfora.

Na słowo, bowiem zaistniały światy
przed słowem drży tyran i jego się lęka,
z żelaza kajdany i z żelaza kraty
pękają przed słowem tak jak kłamstwo
pęka.

Aby walczyć słowem wyższej trzeba rangi
na nic epoety, dystynkcje, tytuły
na nic siła ciała wyrosła ze sztangi,
gdzie trzeba poznania zawodzą muskuły.

Cóż z tego, że mądrość przychodzi nie w porę
kneblowana kulą albo pod kołami
chcecie poznać prawdę wsłuchujcie się
w sforę
kochajcie poetów albo piszcie sami.

Tylko ufna wiara ma właściwe miary
sama nieskończona bada nieskończone
i jak człon rakiety nieprzydatne ciało
powierza na koniec Temu bez początku.

Henryka Jurałowicz-Kurzydło, Słupsk

KLIMA...

Cisza już we mnie
Nie ma jak dawniej motyli w brzuchu
Pragnienia przysnęły trwają w beznachu
Światło się tli lecz nie chce ogrzewać
W kieszeni bilet „w jedną stronę”
Psiakość niemiłosiernie uwiera
Lasy i niebo pokryte fioletem
Przypomniały że po lecie jesień

Atrakcyjność diabli wzięli
Ciała za dużo powietrza mało
I wciąż za ciasno i za gorąco
To los kobiety po sześćdziesiątce
A chciałoby się raz jeszcze
Błysnąć wśród gwiazd diamentem
Co pobudzi zmęczone serce
Sztuczna zastawka...
A może mała iskierka nadziei
Czyjeś dobre słowa i ręce

W SKANSENIE

Tam się powraca do korzeni
Gdzie źródło z serca bije
Gdzie gliniany garnek na płocie
I groch na tyczki się wije
Świątki malowane na szkle
Śmieją się barwami
Koguty i anioły z papieru
Bujają skrzydłami

KAMIENNY PAN

Kamienny tajemniczy i piękny
Znalazł swe miejsce w słujskim parku
Pośród drzew ławeczek i kwiatów
O czym tak myśli lata całe
Kłęcząc na kamiennym cokole
Jesteś na pewno młodzieńcem
W kamień przez wrożkę zaklęty
Choć spojrzenia ci przesyłają
Urodziwe słujskie dziewczęta
Wierząc że któraś cię wskrzesi
Lecz lata mijają a ty się nie zmieniasz
Wciąż jesteś kamienny i piękny
Lecz może po latach wielu
Gdy przyjdzie ten świat mi porzucić
Wspomnę o swym kamiennym przyjacielu
I spróbuję... sama go ocucić
Może ożyją oczy i dusza się zbudzi
Bo jakże z kamiennym sercem
Być tak ciągle wśród ludzi
Może kiedyś kochał szczerze
I tego zapomnieć nie zdołał
Więc niech żywe serce uniesie
Ze Słupska w niebo na skrzydłach anioła

Rafał Sidzewicz, Słupsk

TYLKO SŁABNĘ

jeszcze nie wiesz
jak bardzo do słońca
bezpiecznie
By napisać imię Twoje Erica
Kradnąc promień słoneczny
Tylko za to
jak kradłem słowa
wypowiadane przez Ciebie szeptem
A teraz, teraz jestem
gdzieś między słońcem
a Twoim szeptem

Gdy mgła opadła
ujrzałem dzień
co się słońcem czerwieni
a w dole biel jasnych
ich promieni
nie pomnę, czy orzeł był
który był jakby
do drzewca jego ozdobą
wzleciał z dłoni dziecka
by być ozdobą jego nieba.

Emilia Maraśkiewicz, Darłowo

NARODZIŁ SIĘ JEZUS

radośniej biją serca
gdy grudzień przesuwa dni
jak paciorki różańca

w śnieżną zawieję
przyszłość zielony gość
z odświętnie ubranym uśmiechem

na środku stołu
siano z kruchym opłatkiem
krucyfiks obok świecy z Caritasu

w wieczór wigilijny
płyną modlitwy życzenia i łzy
których nie trzeba się wstydzić

dla ciebie narodził się Jezus
w mroźną grudniową noc
abyś mógł uwierzyć w człowieka

ANIOŁ W BETLEJEM

grzebieniem betlejemskiej gwiazdy
anioł wyczesuje
słodki sen spod powiek

majaczy białym bżem
w mlecznej kurzawie
niesie światło nadziei

łabędzim skrzydłem
wskazuje pasterzom
drogę do Betlejem

szyje śnieżnym ścięciem
zieloną suknię koledzie
niech ukołysze Dziecię
w wigilijną noc

Kol.

Maciejowi Michalskiemu
wyraży głębokiego współczucia
z powodu śmierci OJCA
składają koleżanki i koledzy
z Grupy „Wtorkowe Spotkania
Literackie” i „Wsi Tworzącej”

kobieta zrozumie kobietę



Czy poezja Ireny Peszkin wpisuje się w typ tzw. „poezji kobiecej”?
W rzeczywistości nie różni się ona od innych literatur wrażliwością, umiejętnością obrazowania, językiem...
Jest jednak inna, niekiedy jakby „błada”, innym razem „zamazana”.

Jej poezja jest wyraźnym wspomnieniem czegoś, co miało miejsce i niby się zdezaktualizowało dla wielu, ale nie dla niej. Podmiot liryczny z tomu „Ukryj mnie w dłoniach” to kobieta w średnim wieku z doświadczeniem, z bagażem doświadczeń, która jest „nałogowcem wzruszeń”. Ale po kolei... jej obraz naszkicujemy z należytą szczegółowością.

Niezwykle ciekawa jest inwencja twórcza z wiersza pt. „Jak bumerang”. To właśnie wspomnienie „ze wspólnej uczty z kochankiem” powraca jak bumerang. A ile razy powraca, tyle w wierszach Peszkin określa „o pewnym jesiennym panu”. Wzorzec mężczyzny, jaki wyłania się z twórczości poetki to postać naszkicowana przez kobietę, szczegółowa, tajemnicza a jednocześnie bezgranicznie namiętna... Bo właśnie pożądaniem, namiętnością oraz czułością kieruje się podmiot liryczny, opisujący wspaniałego rycerza. Kiedyś:

„Wystarczyły spojrzenia
prawdziwsze od słów

Dziś tylko słowa
zostały”

Słowa są w tej „poezji czutej” desygnetem ulotnego pragnienia. Słowa same w sobie stają się z czasem nagie i bezwstydne. Tak wiele opowiadają o tym, co kiedyś mogło mieć miejsce. Słowa pomagają zrozumieć podmiotowi lirycznemu istotę wiecznej miłości, nie tylko takiej, która „karmi się ciałem”, ale przede wszystkim takiej, która „ożywia rzeczywistym wzruszeniem”. Dlatego, kobieta zawiedziona miłością, która przemija, buduje sobie niejednokrotnie „wiersze-tratwy” i kładzie je szybko na wodzie życia, aby nie utonąć. Dawne uczucia przemienia w „eter”, a dawne cierpienia w „wzmocnienie serca”. Takim wierszem - „zdruzgotanym żaglowcem” jest utwór pt. „Kiedy zawiedzie”. Bo miłość może rozczarować, okazać się jedynie płytkim zauroczeniem, ale nigdy nie pozostawi nas samemu sobie Bóg, do którego pośrednio (akcentując to barokowym tematem wiersza) odwołuje się poetka. Świadczy o tym fragment:

„Kiedy zawiedzie wszystko
i wszyscy

w morzu beznadziei
nie można zdać się
na dryf”

Samotny żaglowiec, który wypływa na nieznane wody życia, może utknąć w „trójkącie bermudzkim”, znaleźć się poza czasem, stać się wspomnieniem, które będzie trwać wiecznie, jak jest to pokazanie w utworze pt. „W trójkącie”. Pamięć o kimś, kogo się kochało nie wyblaknie. Przeciwnie, właśnie tam w „międzyzycie” zatrzyma się. Ale to tylko chwilowy, przelotny obraz. Bo „wymarzony kochanek” przepadł „w odległej / krainie / albo w trójkącie / między niebem / wiarą i królestwem / rekinów”. Należałoby zadać pytanie, kto jest „rozbitkiem miłości”? Barokowo-romantyczne spojrzenie na obraz miłości, który wyłania się z wiersza „Diagnoza” pozwala stwierdzić, że „rozbitkami” są obie szukające się planety, dwoje ludzi całkowicie różnych, samotnych. Czy trafią na jedną bezludną wyspę, którą nazwać możemy „Ocale niem Miłości”?

Poetyckie ekfrazy, stworzone przez autorkę tomiku dla „podwójnego zatrzymania chwili”, są kolejną, tym razem „Peszkinowską”, „wariacją impresjonistyczną”. Obie dotyczą przelotnego wzruszenia kobiety. Nawiązują do dwóch obrazów Maneta „Bar w Folies-Bergère” oraz do „Olimpii”. Oba dzieła sztuki przedstawiają „płeć piękną”. I to już jest zastanawiające. Peszkin opisuje ich stan psychiczny, tak jakby były to emocje stworzonego przez nią samą podmiotu lirycznego. Korespondencja tych dzieł sztuki z ich poetyckim zapisem wskazuje na wyjątkowość ich natury. Poetka niejako opowiada treści obrazu, dodając do tego swój własny komentarz. Zastanawia się więc nad sytuacją kobiety:

Poetyckie ekfrazy, stworzone przez autorkę tomiku dla „podwójnego zatrzymania chwili”, są kolejną, tym razem „Peszkinowską”, „wariacją impresjonistyczną”. Obie dotyczą przelotnego wzruszenia kobiety. Nawiązują do dwóch obrazów Maneta „Bar w Folies-Bergère” oraz do „Olimpii”. Oba dzieła sztuki przedstawiają „płeć piękną”. I to już jest zastanawiające. Peszkin opisuje ich stan psychiczny, tak jakby były to emocje stworzonego przez nią samą podmiotu lirycznego. Korespondencja tych dzieł sztuki z ich poetyckim zapisem wskazuje na wyjątkowość ich natury. Poetka niejako opowiada treści obrazu, dodając do tego swój własny komentarz. Zastanawia się więc nad sytuacją kobiety:

„Nad czym rozpacza nieszczęsna
dziewczyna z Folies-Bergère
Pewnie - że w miejscu nieskromnym
umieścił ją Eduard Manet”.

Wynika to z prostej relacji, że kobieta zrozumie drugą kobietę, odkryje to, o czym marzyła, co myślała. Połączy ich wspólne wspomnienie i wyobrażenie idealnego mężczyzny odwzorowanego w zwierciadle. Autorka tekstu „Olimpia” chce również nadać bohaterce obrazu i podmiotu lirycznego całego tomiku poetyckiego jednolity charakter emocjonalny i ten sam porządek myślowy. Cechą łączącą obie bohaterki jest uczucie, wrażenie ze spotkania z prawdziwym obliczem miłości, która przemienia się w namiętność i pożądanie.



„Kapiąca” subtelnie zaznaczonym erotyzmem poezja Ireny Peszkin łączy w sobie cechy rzeczywistej miłości z elementami fikcyjnej postaci tego uczucia oraz z barwną, poetycką i obrazową inkrustacją stylistyczną. Jeżeli mielibyśmy określić jednym słowem poezję tej autorki „Ukryj mnie w dłoniach”, z pewnością uznalibyśmy, że jest to poezja stylizowana na wiersze „kobiece” z przełomu XIX i XX wieku. Jest ona w pewnych momentach jaskrawa. Widać tu grubą kreskę ekspresjonistyczną. Niekiedy bywa łagodna, ma prawie rozmyte

kontury, jest mało konkretna, zbliża się ku atrakcji. Jednym słowem, jest to poezja o dużej rozpiętości emocjonalnej. Zbiór wierszy „Ukryj mnie w dłoniach” jest więc zmienny tak, jak sama natura kobiety. Wystarczy przewrócić kartkę, aby poczuć się całkiem inaczej.

Anna Łozowska, Słupsk

Irena Peszkin; „Ukryj mnie w dłoniach”, Starostwo Powiatowe w Słupsku, 2009 r.



Kiedy weźmie się do ręki jego debiut książkowy „Leluje”, widać, że jest to pisarz, którego wyobraźnię ukształtowały nie jakieś wydumane programy artystyczne. Urodził się i wychował na Kurpiowszczyźnie. Tam, w Ostrołęce, mieszkał do roku 1941 - do chwili ucieczki na wschód przed naporem niemieckiej armii. Kochał Kurpie, od najmłodszych lat żywo interesował się ich kulturą i historią.

pisarstwo z życiem spójne - leszek bakuła (1930-1997)



Stąd tyle w „Lelujach” zauroczenia obyczajowością i sztuką kurpiowską, tyle zafascynowania bogatymi w wydarzenia (Bem, bitwa pod Ostrołęką, Czwartacy etc) dziejami tego regionu. Nie tylko w „Lelujach” zresztą. Także w „Połowie horyzontu”, kolejnym zbiorze jego wierszy uformowanych z podobnego kruszcu literackiego, nie mniej ciekawych niż debiutanckie liryki z 1968 roku, zupełnie (jak poprzedni tomik)

nie zauważonych przez krytykę ze względu na to, że - z winy Wydawnictwa Łódzkiego - ukazały się z czteroletnim opóźnieniem.

Wertując pierwszy zbiór poetycki Leszka Bakuły, łatwo doszukać się jeszcze jednej fascynacji, która zdecydowała o ostatecznym kształcie i treści jego pisarstwa. Były nią miłość do morza i Pobrzeża, rozbudzona młodzieńczą lekturą i kilkoma wakacyjno-urlopowymi wypadami do Ustki, narastająca z roku na rok z nieopisaną siłą. W 1968 autor zdecydował się na przeprowadzkę do miasta u ujścia Słupi.

Bezpośredni kontakt z morzem jakby uskrzydlił wyobraźnię podwarszawskiego twórcy i przydał mu pewności siebie. Pisz książkę za książką. W 1971 roku wydaje pierwszą swą powieść - „Czerwony bór”, rzecz o tragedii wrześniowej, ukazanej nie przez pryzmat scen batalistycznych, lecz w płaszczyźnie indywidualnych losów mieszkańców polskich wsi i żołnierzy ich broniących przed nawałnicą hitlerowską. W rok później publikuje „Czarny bór” - kolejny obraz literacki czasów pogardy i bestialstwa „nadludzi”, zapis ponurej okupacyjnej codzienności w przytłaczającej do Prus Wschodnich Ostrołęce, psychologizującą opowieść o chłopcu, który pod presją sytuacji wojennej dorasta do przeżyć, jakie w normalnych warunkach są wyłącznie udziałem dorosłych. W tym roku złożył do druku trzeci tom swej trylogii, poświęconej gehennie ostatnich lat okupacji i opatrzony tytułem „Biały bór”.

Pławi się jak widać, Bakuła w naszej najnowszej historii. Nie ma w tym jednak nic ze zwyczajnych ciągłotek do dziejopisarstwa. Fabuła historyczna służy Bakule do zmanifestowania wierności faktom. Autor „Borów” najwyraźniej odwołuje się tylko do zdarzeń z minionych dziesięcioleci, które jest w stanie ogarnąć własną pamięcią i które nie przestały budzić jego emocji; do znalezienia współczesnej formuły myślenia o losie Polski i Polaków oraz posługiwania się takimi - odziedziczonymi po przodkach i dawnych formacjach ustrojowych, a dziś wypełnionymi zupełnie nową treścią - kategoriami, jak patriotyzm i sprawiedliwość społeczna.

To jakby pierwszy, główny nurt w twórczości Bakuły. Drugi nurt stanowi powieść współczesna.

Sięgnął po nią dokładnie w tym samym czasie, w którym zarysowała się wizja pierwszego tomu jego trylogii historycznej. Długo mocował się z trudną dla każdego pisarza tematyką. Efekty nie przychodziły łatwo, nie były też zbyt znaczące. Pierwszy, wycelowany we współczesność zbiór opowiadań („Wydmuchrzyca”, 1971) składał się z tekstów gromadzonych mozolnie przez wiele lat, nierównych warsztatowo i, powiedzmy szczerze, z dość dużymi oporami układających się w spójną całość, której wyznacznikiem miała być myśl, że w dzisiejszym świecie, pełnym napięć i konfliktów wewnętrznych, żywot młodego człowieka jest bardziej skomplikowany i najeżony trudnościami, niż mogłoby się wydawać na podstawie jego materialnej prosperity.

Nie daje wszakże za wygraną. Sześć lat po ukazaniu się „Wydmuchrzycy” próbuje jeszcze bardziej zdecydowanego wejścia we współczesność. Píše „Spadek” - powieść o środowisku wsi AD 1976-77, ściślej zaś o perypetiach rodzinnych kilku chłopów i robotników rolnych osiadłych w Słupsku i Koszalińskiem w pierwszych latach powojennych. Czy trafił tym razem w „dziesiątkę” - czas pokaże. Książka awizowana jest przez LSW na roku 1978.

Nie zapomina i o swojej młodzieńczej pasji: poezji. Przez dwa lata kompletuje kolejny, trzeci tomik wierszy, który dosłownie na dniach wyda mu oficyna poznańska. Tomik nosi tytuł „Kontrapunkt”. Książeczka zawiera całkiem inny typ liryk niż te, które pomieścił w „Lelujach” i „Połowie horyzontu”: bardziej dyskretnie związanych z regionem kurpiowskim i środkowopomorskim (lokalne wartości kulturowe - głębiej przetworzone), dojrzalszych pod względem filozoficznym, wypełnionych tekstami, które muszą budzić respekt śmiałym ujęciem tematycznym.

Leszek Bakula (1930-1997)

nadnarwiańskie wikliny
ileż to ich snopów
powiązałem w sens wiary
że wstrzymam bieg rzeczy
ileż brzegów z faszyny
założyłem w wierze
okolicznych łęgów
nie zaleję ludzi łzami bursztynami
nadnarwiańskie wikliny
w których się topiłem
brzeg brzegowi nie równien
nurt w nurcie zaginie
a ja ciągle chcę łowiąc
na przynętę życia
nadnarwiańskie wikliny
zwiążemy się w snopy
może tamę zbudujemy
dobru co złem płynie

ja dziś do georginii
pójdę na kolanach
a w jaśminach to mogę
usnąć już na wieki
sady białych chryzantem
niech przejdą przez oczy
w maciejce mnie śpiącego
dobudzi się księżyc

w nagietkach i nasturcjach
malw lance tną niebo
dajcie mi choć piwonie
przytrawne stokrotki
zostawcie coś ze świata
który był tak krótki
że zanim go pojąłem
on mnie już ominął
- żeby choć był jutro
dla kogoś innego

tej jesieni ćmy obrodziły
wokół żyrandola jak statki
biją łbami w światło
aż pył kosmiczny opada
nie wiem czego nie robić
zadziobywać je piórem
zapalkami podpalać
wobec mnie są winne
życiem po swojemu
ty też nie bezgrzeszny
tym swoim przebytem
- przeszły ćmy to komary
wielki złożyły desień
na suficie i ścianach
- nie wiem czego się imać
z ćmami i komarami
noc się tak nie dłuży
w nieskończoność
jak z ludźmi

Przymierza się od kilku miesięcy do czwartej, bogato udokumentowanej faktograficznie powieści historycznej o bohaterskiej obronie Wizny nad Narwią przez kpt. Raginisa i grupę jego podkomendnych oraz o życiu wsi („kłania się” nauczyciel wiejski z Kieleckiego z lat pięćdziesiątych), w której stacjonowała kompania kpt. Raginisa. Zbiera materiały do książki poświęconej historii książąt zachodniopomorskich spod znaku Gryfa Słupskiego. Marzy mu się wielki epos wojenny o młodych polskich chłopach i dziewczętach z szeregów I. Armii WP.

Bo taki już jest ten intrygujący autor: pełen pasji i wyobraźni, mocno tkwiący w realiach otaczającego życia. Zwyczajny - jak powiada - i rozmiłowany w swoim zawodzie pedagog, który tylko na czas pisania książek przemienia się jakby chytkiem w artystę...

Żył w latach 1930 - 1997. Absolwent filologii polskiej na UW. Już u progu studiów (1950) debiutuje jako poeta w tygodnikach „Wies” i „Kuźnica”, z którymi później przez długi czas będzie współpracował w dziedzinie publicystyki i reportażu. Po krótkim „terminowaniu” w małej szkółce świętokrzyskiej wiąże się na stałe z Ustką i Technikum Mechanicznym w Słupsku. Píše, pisze i - zbiera coraz więcej nagród w konkursach literackich. Patron i animator KKMP, spiritus movens tutejszego Oddziału ZLP.

Po mojej rozmowie z nim dla szkiców pn. „Profile” wydał jeszcze w formie trylogii „Czerwony - czarny - biały bór” (1980), sygnalizowane przedtem powieści „Wizna” (1982) i „Stamtąd do siebie” (1983) oraz napisaną tuż przed śmiercią (1995) „Ziemie i morze”.

Jerzy R. Lissowski
Słupsk



Stefan Morawski, linoryt z cyklu „Notatki z podróży”

SYRENA USTECKA

w rozpalonej blasze powietrza
wytopiona palnikiem słońca
piersiami kołyszająca fale
biodrami kołyszająca wydmy



popiół wiatru
w sieci utkanej z mewich lotów
panno pogańska nad pannami
we widnokregu koła wołam
ratunku przed ocaleniem
wrastaniem w łuskę twoich nóg
bielą żagli otwartych do lotu
panno słoneczna nad pannami

PALE

Czarnym konduktem schodzą
w morze

w morszczyku wieńcach - ziołobrode
wa im na łby trzęsie pióra
rze z nich lot - na obłok lasso
błękicie śnią z ołowiu sztormy
l wodę idą wroście kajdanami
nieniami rozhuśtanych w łańcuch
micznie wciąż koszone falą
lają na sękowe oczy
na wierzch wyszły z opróchnienia
dziurach ich czaszek stoi woda

- rzędy kielichów - toast śmierci
Wiatr im nakłada czapy z lodu
Sztorm zrywa chlusem ołowianym
Szczerbate zęby pochylone
W dziąstłach żółtawych brzegu życia

zostanie po mnie wyrwa ziemi
którą zaklepie grabarz szpadlem
kilku świadków wiecznie niemych
nad morzem sztorm a w Narwi wiatr
zostaną po mnie dwie jedności
życia i śmierci - żółty piach
i nadnarwiańska z łęgów chandra
o bliskich wielki strach
nie chcąc już wiedzieć co zostanie
choć tak bym wiedzieć chciał
dusz ludzkich wieczne marmowanie
wyobcowanie ciał
zostanie po mnie krzyk rybitwy
nad Narwią narowistą
zostanie po mnie prócz niczego
wszystko

odszedł kazik furman



Właśnie minęła północ. Jutro jest pogrzeb Kazika Furmana na cmentarzu komunalnym. Tyle dotarło do mnie z gorzowskiej prasy i od koleżanki z podstawówki, która tam zamieszkała.

To od niej dostałem sms-a, że Kazik nie żyje. To, że ciężko chorował jakoś do mnie dotarło, już nie wiem, kto mi o tym mówił. W czerwcu dostałem przesyłkę pocztową. Niby lekka koperta, zwykła, codzienna. Jak otworzyłem... w środku było „Brzemie”. Najnowszy tomik Kazika.

Mam tę wielką przyjemność, że do moich wiejskich drzwi puka wiele doskonałych i genialnych książek poetyckich. Dedykacja: Jurku, długo nic nie zrobiłem, ta też może być przedostatnia. No, ale życie figle płata. Serdecznie - Kazimierz, 15.06.2009, Gorzów.”

Tak. Życie spłatało figla i jest to ostatnia książka Kazimierza Furmana. Dobrze, że została doceniona przez władze Gorzowa Wielkopolskiego i poeta otrzymał laur „Motyla”, nagrodę przyznawaną za dokonania artystyczne.

Wczoraj rano zdałem sobie sprawę z niesamowitej rzeczy. W poniedziałek 19 października Kazimierz Furman, poeta gorzowski wejdzie w ziemię cmentarza komunalnego na zawsze.

Pięćdziesiąt dwa lata temu urodziłem się w Gorzowie Wielkopolskim. Wyszedłem z matczynej łona na tej pięknej ziemi, która teraz pochłonie Kazika. Jednak nie tylko to nas łączy.

Mówiło się o Nim outsider. Jednak ja pamiętam, takie chwile, kiedy Kazik potrafił sprzedać w lokalu tomik swojej poezji za sto a nawet dwieście złotych. Pod tym względem miał niesamowity dar perswazji. Nasze ostatnie spotkanie odbyło się z okazji rozstrzygnięcia w Gorzowie konkursu im.



Morawskiego. Musiałem przeczekać noc, tak złe miałem połączenie powrotne. Najpierw wypiliśmy laureacką flaszkę w klubie Limes, potem kilka godzin w mieszkaniu Jego kobiety. Rankiem odprowadził mnie na dworzec. Po drodze zaszliśmy do klubu jazzowego, który obchodził jubileusz i impreza jeszcze trwała. Tam Kazik wyperswadował u kogoś postawienie dwóch setek. Wypiliśmy i zostawiłem Go potem na peronie w słynnym czarnym swetrze i białym szaliku. Zostawiłem na zawsze, jak się okazało.

Załączone zdjęcie zrobiłem dwadzieścia lat temu w hotelu w Świdwinie. Byliśmy laureatami znanego konkursu im. Śpiewaka. I proszę tylko sobie uświadomić, kto tam wtedy był. Elżbieta Juszcak, Ariana Nagórska, Kazik Furman i Marek Brymora. I cieszę się, że nie muszę ich czytelnikom przedstawiać. Ciągłe

Kazimierz Furman (1949-2009)

Człowiek u schyłku życia
Planuje sobie na sobotę
Długi spacer
Wyjście do teatru
Późną kolację przy świecach

W niedzielę po kościele odwiedzi wnuków
Odpocznie na działce przy piwie
Spotka się ze znajomymi

Jest pełen optymizmu
W przyszlým roku
Pójdzie wreszcie na kurs prawa jazdy
Podłączy się do internetu
I zacznie wreszcie biegać
By schudnąć

Do tej pory nie miał na nic czasu
Życie pędziło z dnia na dzień
Jak peleton kolarski
I nim się zorientował
Okazało się
Że wszystko musi zaczynać od nowa

Człowiek u schyłku życia
Zaczyna oddychać

Przekroczyłem półwiecza próg
Wydaje się niski

Za nim
Strome schody w dół

Schodzę coraz szybciej
Z tej góry
Która zwie się życiem

Coś mnie z tyłu pcha
Coś albo ktoś
Nie oglądam się
Ale się domysłam

Oddalam się od tych
Którzy dopiero zaczynają się wspinać
Na ten szczyt

Przetarłem im szlak

Mijamy się w drodze

Nasze cienie
Ocierają się o siebie

Iskrzą
Jak chmury przed gromem

dzieją się rzeczy niesamowite. Oto trzy pierwsze wiersze, jakie przeczytałem z tomiku „Brzemie”. Czy to tylko przypadek?

Na końcu książki jest domowy adres Kazika. Niestety, nikt z nas Go już tam nie zastanie.

Jerzy Frykowski, Dębica Kaszubska

Błysk
Otwiera niebo

Stoję u bram

Potknąłem się o jedno życie
Dano mi je za darmo i na zawsze
Z woli ojca i matki

Być może
Jestem tutaj z ich nierozwagi
Z chwil uniesień
Z westchnień

Nie tylko mi życie płała figle

Pamiętam
Jak w chwili urodzin
Przytuliłem się do piersi nagich
Jak zachłannie ssąłem sutki

Ssałem głupotę i mądrość

Pokarm mój

Wiersze pochodzą z tomu „Brzemie”,
Gorzów Wielkopolski, 2009 r.



*J wyszedł w ciemną noc listopadową
z wielkim pośpiechem. W sieni schwycił
drelichową kapotę i zarzucił na siebie.
Miał koszulę flanelową, sweter zro-
biony przez matkę i po wielokroć cero-
wany, spodnie drelichowe i bosa nogi.*

szedł

Po ciemku wsunął stopy w gumowce, dwa różne i pośpiesznie wyszedł. Przez podwórko na przełaj, na wschód. Trawa chrzęściła pod nogami, buty stawały się chwilami ciężkie, gdy przecinał zaorane pola. Nie czuł chłodu, tylko dziwną lekkość na duszy. Wreszcie zrobił to, co już dawno powinien. Wraca do domu, na wschód, do małej wioski pod Wilnem. Nie zauważył nawet, kiedy przekroczył czarną szosę, lekkiem łukiem ominął wieś pogrążoną w ciemności. Gdzieś zaszczekał pies. Przenikliwy wiatr jakoś omijał jego chude ciało. Nie było mu zimno. Przeciął kolejne pole, potykając się na kopczykach kretowisk ani na metr nie zboczył z wytyczonej drogi. Tysiące razy oglądał wschody słońca, o różnych porach roku. Wiedział, gdzie ma iść. Wiedział, że dojdzie, jeśli nie zboczy z wytyczonego kierunku. Nie myślał o niczym. Tam czeka Luda.

Wszedł w zagajnik, gałęzie chlastały go po twarzy, jak gdyby chciały go ukarać za nieposłuszeństwo, bo postawił na swoim. Po tylu latach. Wreszcie zaczął się wysoki las. Cicho tu było. Gdzieś coś smyrnęło w trawie, załopotaty skrzydła.

Nie bał się. Las zawsze był mu przyjacielem. Tu nie potrzebował patrzeć, byle nie stracić kierunku.

Zaczęło jaśnieć. To na wschodzie. Idzie dobrze. Tam, do tych jaśniejszych plam trzeba iść. Był głodny. Wytrzyma. Las się skończył. Łąka, pastwisko. Teren lekko się obniżał. Nogi przyspieszyły. Nagle pod stopami coś zachlupotało. To stawek w środku pola. W szarówce dostrzegł obrys. Na wprost za stawem szarzało. Wschód. Obszedł dookoła, bacząc, by nie stracić z oczu tej szarzejącej poświaty. Szedł teraz pod górkę. Wiatr go spychał. Zgrabiętymi rękoma próbował zapiąć guziki kapoty, ale się nie dało. Zrezygnowany wsunął ręce do kieszeni. Wreszcie znalazł się wysoko. W dole spostrzegł zabudowania ledwo majaczące w szarówce. Stały na jego drodze. Chwilę się zawahał. Ale tylko chwilę. Zdecydowanym krokiem szedł. Stodół, szczekanie psa, Wszedł w obejście. Zapach obory i ledwie uchwytna myśl. Krowy trzeba podoić. Robił to od lat o tej porze. Odruchowo skierował się do obory. Pies wściekle ujadł. Nagle zapłonęło światło nad drzwiami

domu. Przestraszony zaczął oddalać się. To nie była jego obo-
ra i nie jego światło. Wszystko obce. Zerwał się do biegu.
Na chwilę powróciła przytomność umysłu. Co tu robi? Gdzie
jego dom?. Biegł na oślep, a za nim ujadanie psa. Też nie
było to mu znane. Zatrzymał się, gdy zabrakło mu tchu. Dy-
szał chrapliwie. Przysiadł pod drzewem, by się uspokoić. Był
bardzo zmęczony. Bał się. Nie znał tych miejsc. Rozwidniało
już na tyle, że mógł się rozejrzeć.

Nie przychodziło mu nic do głowy. Gdzie jest? Co tu
robi? Gdzie jego dom? Nie rozumiał. Zamknął oczy, w skupie-
niu próbował sobie coś przypomnieć - matka? Ojciec? Brat?
Skąd się tu wziął?

Przez cały dzień chodził gorączkowo po polach. Krążył
wokół wsi. Obcej, nieznanej. Raz podszedł do obejścia, gdy
zobaczył sylwetkę mężczyzny i chciał go zagadać. Ale gospodarz
groźnie machnął widłami, więc uciekł stamtąd.

Przemarznięty, głodny i zmęczony, daremnie szukał swo-
jego domu. Żadna z wybranych drózek nie wiodła go do

miejsc znajomych. Po wielokroć wracał w te same miejsca,
próbując odczytać znaki. Bezskutecznie. Zdesperowany wy-
brał drogę pod księżyc. Nie uszedł daleko. Na drodze stanęło
bagno. Pod stopami zachlupotała woda. Noga w czerwonym
gumowcu zapadła się błyskawicznie. Wyszarpnął ją odrucho-
wo. Uskoczył. But pozostał w lepkiej mazi. Zrobił jeszcze
kilkanaście kroków i potknął o korzeń. Upadł twarzą. Podał
się. Nie miał już sił, by wyrwać się z zimnego uścisku wody.
Bagno litościwie objęło go, przygarnęło, utuliło. Nie tak jak
ludzie.

Na wigilijnym stole stoi puste nakrycie. Dla nieoczeki-
wanego wędrowca, zagubionego i samotnego. Tradycyjnie. I
tylko drzwi zamknięte na dwa zamki i tylko okna zasłonię-
te szczelnie. Kolędy w wykonaniu znanych artystów estrady
skutecznie blokują wołanie z zewnątrz.

Teresa Nowak, Łupawa

listopad zadumany



*Listopad to miesiąc, w któ-
rym szeroko otwierają swoje
bramy cmentarze. Skrzypiąc
zardzewiałymi zawiasami
przypominają o smutnej
samotności tych, którzy ode-
szli. Piękno cmentarzy za-
wsze inspirowało pisarzy, po-
etów, rzeźbiarzy tworzących
świat zaginionych uczuć
i pogrzebanych miłości.*

*W pamięci widzę znajome twarze
smutki, uśmiechy, radości i gesty
ogniami zniczy płoną cmentarze
modlitwy zabrzmi szept bolesny*

Przyjemnie jest stojąc w zamyśleniu ulecieć ku swo-
im najbliższym, obdarować kwiatami, przyrzekając pamięć
nieustającą. Błądząc pomiędzy grobami zanurzamy się bez-
wiednie w falę szepcików modlitewnych, wdychamy zapachy
płonących świec i jałowcowych wieńców. W nastroju tajem-
niczości podziwiamy tę odmienność miejsca, czytając tajem-
nicze epitafia i inskrypcje... Tajemniczość dodaje cmentarnym
spacerom odmienności. Przy odrobinie szczęścia w płytach
nagrobnych, wypolerowanych przez jesienne deszcze może-
my ujrzeć swoje odbicie - niewyraźne i mętne jak duch wi-
dziany oczami przysłoniętymi zaćmą.

Cmentarze pełne są bowiem samotnych dusz czekają-
cych cierpliwie na odwiedzin i przywitanie z najbliższymi
modlącymi się z religijną żarliwością. W dniach świątecz-
nego zapamiętania cmentarze toną w stosach kwiatów i
kręgach wieńców znoszonych przez ludzi, ślących sobie



pozdrowienia i powitania. Wieczorem nad grobami unoszą się mgły dymów, a cmentarz promienieje łuną światła uciekających ku niebu. W tym zadumanym i smutnym dniu jestem myślami z moimi najbliższymi, których los porozrzucił po świecie, nie wybierając im mogił i miejsc spoczynku. Leżą w powstańczych kwaterach na warszawskich cmentarzach Brudna i Powązek. Na starym, pięknym cmentarzu w Radomsku, pełnym pomników i rzeźb pamiętającym czasy rosyjskiego zaboru pochowani są moi rodzice, w Piotrkowie i Wolborzu rodzina ze strony ojca. Na małym wiejskim cmentarzu w Strzałkowie siedząc na ławce obok grobu kolegi, przeżywam melancholijną tęsknotę za ludźmi tkwiącymi w myślach z okresu dzieciństwa i czasów wojny.

*Smutek mnie wtedy ogarnia i płaczę
kiedy mogiły przyjaciół zobaczę
zapadłe groby już porósł mech
a ja wspominam każdy mój grzech*

Wspominam rodzinę Szydziaków - nauczycieli, niezapomnianych przyjaciół matki z okresu tajnego nauczania. W Bytowie zapalam znicze na grobach rodziców żony wspominając dzieje rodziny Styp - Rekowskich - patriotów znanych z nieustępliwości w walce o Polskę.

Modląc się w intencji Jana Pawła II dziękuję Bogu za umożliwienie mi przeżycia misji jaką pełnił na ziemi Papież Polak, niezapomniany człowiek, nauczyciel dający nieustannie świadectwo swojego umiłowania ludzi i więzi rodzinnej. Dał temu wyraz w wierszu poświęconym swojej matce:

Emilii - Matce mojej

*Nad Twoją białą mogiłą
białe kwitną życia kwiaty
O, ileż lat to już było
bez Ciebie ducha skrzydlaty*

*Nad Twoją białą mogiłą
o Matko - zgasłe kochanie
me usta szeptały bezsilną
- Daj wieczne odpoczywanie.*

Dogasające płomyki rozchwiane wieczornym wiatrem, długo jeszcze będą migotać na opustoszałych cmentarzach. Pozostaną samotne groby przykryte stosami wędnących chryzantem i jesiennych liści.

Andrzej Szczepanik, Bytów

polskie i irlandzkie zimy

Czasami, w jedne z tych dni, kiedy przetaczają się przeze mnie rzeki słów, sprawdzam z niepokojem, ile mi ich jeszcze zostało, nawet, gdy zeszyt jest prawie pusty, tak, jakby miał się zapęłnić, przepęłnić do rana i co wtedy? Słowa wyleją się na stół, na kolana, przeleją się przez pełne, gotowe je ratować garście, po podłodze popłyną...

Albo zabraknie tuszu, pióro zaskrzypi tępo na papierze i nie wykrztusi już ani słowa...

Kupiłam więc nowy zeszyt, w miętutkiej, skórzanej okładce, bo zima idzie...

Zima na Zielonej Wyspie nie bardzo przypomina polskie zimy. Śnieg pada tu, owszem, co kilka lat, ale topnieje natychmiast w kontakcie z ziemią. Ciepłe kurtki, czapki, szaliki można z powodzeniem zastąpić porządnym swetrem, bez parasola wszakże obejść się nie sposób.

Coś jest jednak takiego, co łączy te nasze polskie i irlandzkie zimy... Niepokój, gdy w ciemny, chłodny poranek stoi się na przystanku... obawa o przyszłe święta... czy znów nie zaboli zbyt mocno? Czy znów samotność nie pozwoli wyjść z domu w to piękne, udekorowane świerkami miasto, dzwoneczki i „grudniowe piosenki”...? To jest dokładnie ten sam niepokój, czy to w Słupsku, czy w Belfaście... Z kim spędzę te święta...? Kto razem z mną zrozumie zapach dymu z komina u sąsiadów, gdy będę wracała do domu małą, ciemną uliczką...? I kto to taki był w zeszłym roku i jakie to smutne, że już go nie ma...

Zeszłej zimy mieszkałam w niewielkiej miejscowości Ballywalter w hrabstwie Ard's. W typowo polskim, jak na brytyjskie warunki, domu. Każdego wieczoru rozpalaliśmy ogień w kominku i migotliwe, ciepłe cienie tańczyły po nietynkowanych ścianach z czerwonej cegły, a tuż za płotem huczało morze. W Ballywalter znalazłam mój pierwszy tutaj dom. Do dziś, gdy mi się ścieżki płaczą, uciekam tam. Jest

*Kupiłam wczoraj nowy
zeszyt, chociaż tamten błę-
kitny, od M. nie zapisany
jeszcze nawet w połowie.
Ten lęk, że zabraknie kar-
tek chyba tkwi we mnie
jeszcze od dzieciństwa...*



to jedyne jak dotąd miejsce, gdzie nie odczułam rywalizacji Polaków na obczyźnie, może dlatego, że nie jest ich tutaj znów tak wielu, w końcu to mała osada. Do sklepu można wyjść w kapciach. Nikt nie zamyka drzwi i kiedy wraca się do domu, okazuje się, że sąsiad tam już czeka z upieczonym przed chwilą sernikiem, albo po prostu wpadł z piwkiem, lub na kawę. No i te kołatki na drzwiach, a nie dzwonki! Po prostu mnie zachwyciły!

W polskim sklepie z głośnika „leci” Rynkowski. Każda miejscowość ma swój polski sklep. Polskie produkty można oczywiście kupić w Tesco i w każdym większym supermarkecie, są tam nawet tańsze, ale to nie to samo... Biegnie się więc chociażby tylko po polski chleb i gazetę. Z tymi ostatnimi niestety jest ciągle jeszcze problem. Wybór polskich czasopism nie jest zbyt bogaty. Zaledwie kilka, kilkanaście pozycji, natomiast najbliższa polska księgarnia znajduje się aż w Belfaście, czterdzieści minut jazdy samochodem. Jeśli komuś nie obca jest potrzeba kontaktu ze słowem, pozostaje mu jeszcze zamawianie książek przez Internet. Przyznam, że sama głównie tą drogą zdobywam książki w języku polskim.

W Ballywalter nie ma polskiej szkoły dla dzieci, ale w każdej klasie jest osoba pomagająca nauczycielowi w kontakcie z uczniami, którym język angielski sprawia jeszcze zbyt dużą

trudność. Znam kilka osób, które przyjechały z Polski po studiach pedagogicznych i tutaj wykonują właśnie taki zawód.

Moje wspomnienie ubiegłorocznej zimy, to Ballywalter... Ten rok zapisał mi się już czymś zupełnie innym. Wielkie miasto, inni ludzie, inna praca. I comiesięczne loty do Anglii, do kogoś najbliższego na świecie, albo czekanie na lotnisku. Lot do Anglii trwa pół godziny. W zeszłym roku właśnie tam skutecznie obroniłam się przed bożonarodzeniową samotnością.

Ach, te dworce, dworce, gdyby one oczy miały, albo serca, opowiedziałyby nam o tylu powitaniach i pożegnaniach tylu, tylu ludzi...

Zawsze na lotniskach obserwuję żegnających się, witających. Udziela mi się atmosfera ich radości, wzruszenia, pospiechu... Wszystkie dworce mają to do siebie. Gdyby tak na przykład ten dworzec w Słupsku umiał mówić...!

Wierzę w...

Wierzę w ludzi

- takie niebezpieczne mam hobby, tym bardziej,
Że tylko w Boga kazano nam wierzyć,
A tu ja, popatrzcie, w nadgodzinach, w ludzi jeszcze!
I w sztukę, że niby wieczna...

Mnie na pewno przeżyje.

W Anioły już raczej bezpodstawnie, czysto empirycznie,

Kto spotkał, ten wie!

W zielone brzoźki u bieriegu rieczki w Brześciu

I młynku mój, kręć się, kręć.

Ja na to wszystko popatrzę

Z Wielkiego Oka w Belfaście.

Ilona Lipska, Belfast



irena wiercińska - koszalin

Urodziła się w woj. lubelskim, od 1967 roku - koszalinianka. Przez wiele lata zawodowo zajmowała się reklamą i marketingiem. Obecnie na emeryturze. Z zamiłowania - plastyk i poetka. Literatura i słowo interesowało ją zawsze. Własnym nakładem wydała tom wierszy pt. „Zaduma”. Wiele w nim utworów poświęconych miłości do ojczyzny i do życia człowieka. Kocha życie i pochyla się nad cierpieniem drugiego człowieka. Uczęszczając do gimnazjum, przebywała pod opieką zakonnice - Sióstr Salezjanek, co miało wpływ na jej światopogląd przekazany w twórczości poetyckiej. (z)

TEŚKNOTA

opowiedz mi proszę
o falach
co do brzegu pędzą
z białymi grzywami
o wilgotnym piasku
który śpiewnym chrzęstem
delikatnie pieści
mokre nagie stopy
opowiedz o mewach
co krzyczą
nad morza wodami
i o dzieciach
co z piasku budują zamki
najpiękniejsze w świecie
opowiedz
a ja słuchać będę
z zamkniętymi oczami
by dotknąć kamieni
co u brzegu legły
szlifowane falą
jak najdroższe diamenty
dotknę też
wyniesionych z rozszalałych
głębin -
m u s z e l e k
kruchych
jak pamięć ludzka

i jak watek zerwany
nagle -
choć niechcianie
opowiedz
a potem zapomni
o mojej tęsknocie
i mojej n a d z i e i

MIEJSCE NA ZIEMI

Tęsknoto, nieś moją pamięć i serce
Nad pola falujące ciężkim kłosem
pszenicznym,
Na łąki bogate w kwieciste kobierce,
Nad lasy z bukiem i dębem cienistym.
Pochyl się nad źródłem ze światłem
diamentu,
Pij wodę z chłodem głębin Ziemi -
Weź z niej siłę i moc tajemną,
Która przed słabością chroni.
Obmyj życiem utrudzone stopy
W nurtach potoków bystrych,
Które swoje życiodajne wody
Prowadzą do królowej rzek - Wisły.
Zawołaj „Echo” w głębokim wąwozie,
A ono poleci z powietrzem pod niebo

I radośnie wróci, aby odpowiedzieć:
„To ja, to ja, twoje Echo, echo, echo...”

Biegnij bosa ścieżkami polnymi
Tnącymi w bławatach i makach.
Oddychaj głęboko zapachem urodzajnej ziemi
Znojnego dnia i nocy utopionej w gwiazdach.

Pod rozgrzanym niebem zatrzyma cię
śpiew skowronka,
Wieczorem wsłuchaj się w żab kumkanie,
Nocą podziwiał miłosny trel słowika,
A ranek zbudzi się ciszą rześkiego świtania.

Tam kąpać cię będą strugi deszczu,
Osuszy drgająca barwna tęcza perlista.
Tam radować się będziesz z byle czego,
A rosą zapłacze za ciebie szarość mglista.

Gdy człowiek idzie drogami znanymi,
Stąpa po Ziemi swego urodzenia,
Z którym po wieczność jest związany -
Żyje tym samym pulsem otoczenia.

Z pokorą wracam do moich korzeni
Gdzie złożone są prochy moich Przodków -
Tam i moje szczątki być powinny,
Lecz dla lotnych ziaren nie ma powrotu.
Wiersze pochodzą z tomu „Zaduma”